

WSPOMNIENIA
MOJEGO OJCA
ŻOŁNIERZA DZIEWIĄTEGO PUŁKU
KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO.

Zebrane według ustnego opowiadania powtórnie

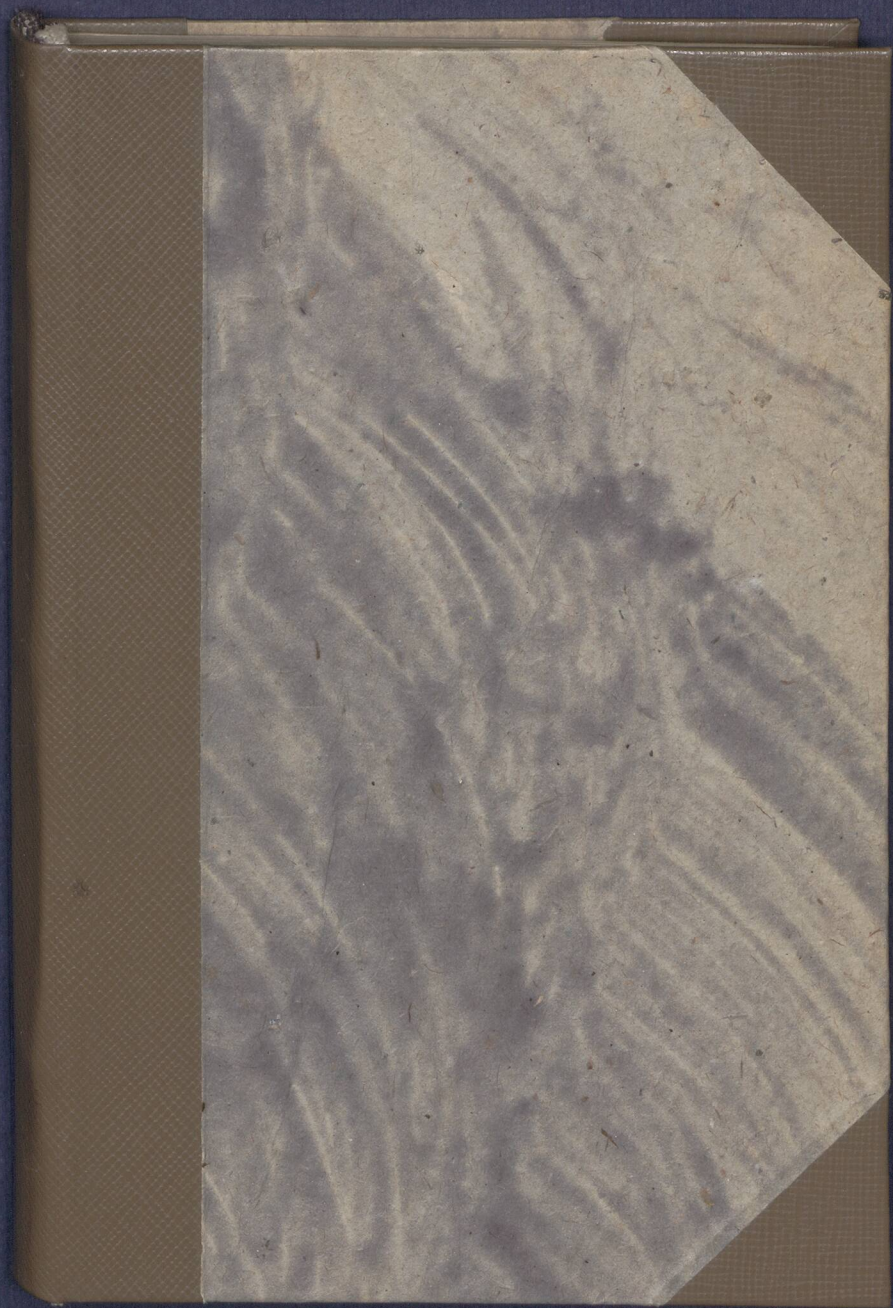
PRZEZ

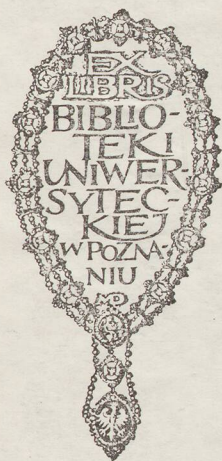
Księdza J. Dalekiego.

O Francjo
Wspomnij . . . oni to waleczną swą sprawą
Z ostatniej nieraz wyrwali cię toni.
Ach! ktoż policzy przez lat szereg długi
Oddane tobie przez Polskę usługi?
Gdzie zmarzły biegun, strefy płomieniste,
Tagus, Ren, Tyber toczą swe potoki,
Gdzie szrony Wolgi, bory jej cieniste,
Gdzie szczyt gmachów Egipskich przebija obłoki:
Walczących za cię sępom zostawione
Sterczą Polaków kości rozrzucone. . . .

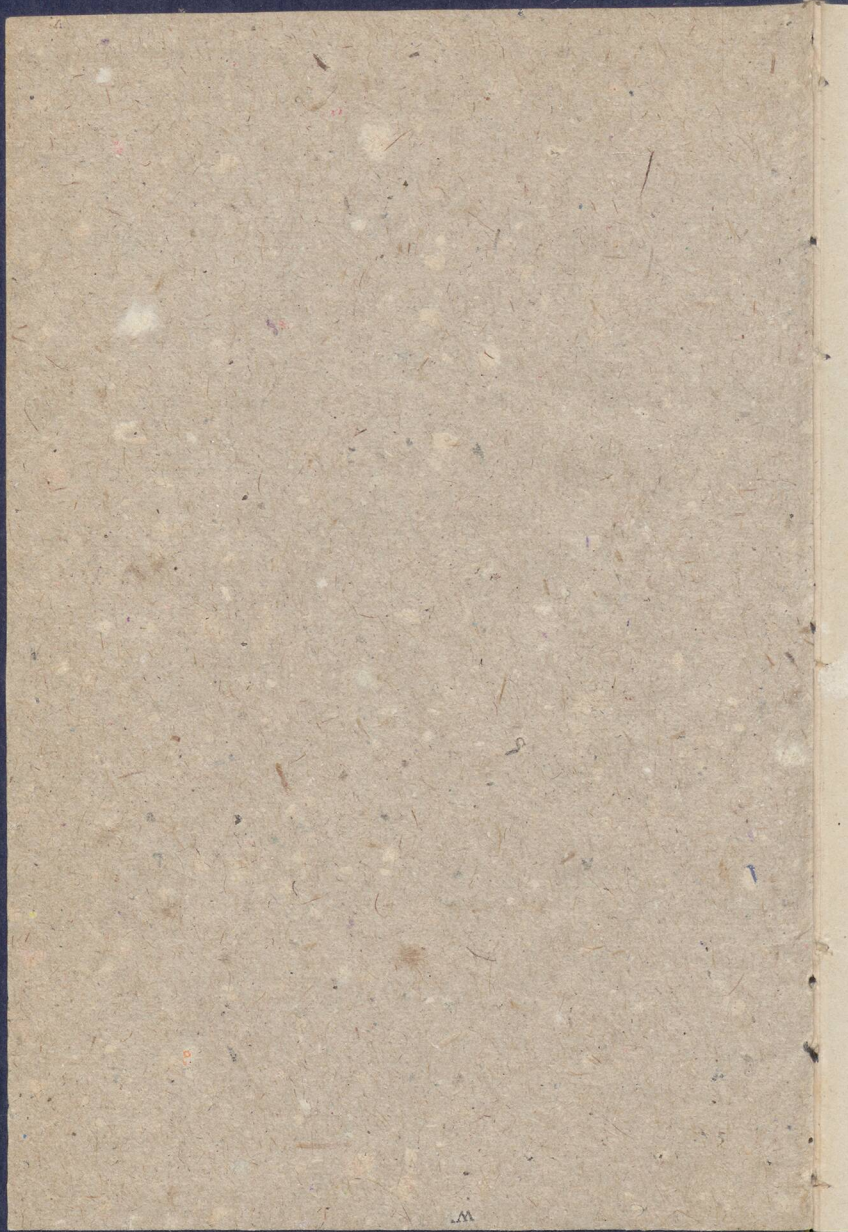
W POZNANIU,

1864.









WSPOMNIENIA
MOJEGO OJCA

ŻOŁNIERZA DZIEWIĄTEGO PUŁKU
KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO.

Zebrane według ustnego opowiadania powtórnie

PRZEZ

Księdza J. Dalekiego.

O Francyjo
Wspomnij . . . oni to waleczną swą sprawą
Z ostatniej nieraz wyrwali cię tani.
Ach! któż policzy przez lat szereg długi
Oddane tobie przez Polskę usługi?
Gdzie zmarły biegun, strefy płomieniste,
Tagus, Ren, Tyber toczą swe potoki,
Gdzie szrony Wołgi, bory jój cieniste,
Gdzie szczyt gmachów Egipskich przebija obłoki:
Walczących za cię sępom zostawione
Sterczą Polaków kości rozrzucone. . . .

W POZNANIU,

1864.

WSPOMNIENIA
MOJEGO OJCA

KOZŁOWSKA DZIEWIĘTNY RUKA

KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO

Kopie wójby narysowane w Warszawie

Województwo Warszawskie



7713251

W. POZNAŃ

1881

Bibl. UAM

74D 188

PRZEDMOWA.

Szczałki Wielkiej Armiji znikają powoli zprzód oczu naszych. Przechować potomności czyny jej bohaterów zadaniem jest współczesnych. Jeśli zaś wawrzyny owych ubiegłych czasów sławy wieńczą skronie wiekiem już zgrzybiałego ojca, świętym jest obowiązkiem dzieci zachować w upominku jego trudy, walki i zwycięstwa, by z nim razem nie zstąpiły do grobu. Tą myślą powodowany, a zarazem ulegając licznym życzeniom przyjaciół i znajomych tak własnych jako i ojca, zabrałem się do skreślenia powtórnego wspomnień mojego rodzi-
ca, które po raz pierwszy zacny mój przyjaciel pan Baranowski zebrał był i wydał w roku 1857 w Lipsku, a które wkrótkim czasie rozebrano. Zamia-

rem mojim przy niniejszém wydaniu było: uczynić dziełko to popularnem, aby mogło znaleźć przystęp do wzrastających dziś, a tyle ważnych biblioteczek ludowych. W tym celu zebrałem jak najwierniej wszystkie wypadki ważniejsze tak w pierwszym wydaniu umieszczone, jak i zdarzenia w témże pominięte, i oddałem je zupełnie wiernie według ustnego opowiadania; a pracę całą poświęcam rodzeństwu jako drogą pamiątkę i spuściznę, rodakom — jako liść skromny do wieńca narodowych cierpień i narodowej sławy.

Pisałem w Parkowie dnia 5. Września 1863 r.

Autor.

Branka.

Była to jesień — roku nie pamiętam ¹⁾ — noc ciemna, wicher szumiał, gdy nagle otwierają się drzwi i słyszę głos: „Jędrzeju wstawaj i chódź!“ — Dokąd? O północy?“ — Wtém chwyta mnie trzech mężczyzn. Wstaję więc czemprędzej, wychodzę na dwór i widzę, iż sołtys z Dłoni²⁾, włódarz i ojczym mój — Panie świeć nad duszą jego — stoją tuż przy mnie i za sobą iść każą. Strach mnie wziął, bo niemógłem się domyśleć, co się zemną dzieć będzie. Im dalej idę, tym mi serce bardziej poczyną tętnić. „W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego,“ żegnam się wreszcie, idąc przez wieś Rogożewo — bo w téj wsi pod Jutrosinem służyłem — i odmawiam sobie po cichu, a po-

¹⁾ 1806.

²⁾ Wieś leżąca pod Jutrosinem w Wielkiem Księstwie Poznańskiem niedaleko Szląskiej granicy.

bożnie „Kto się w Opiekę,” „Pod Twoję obronę” i pacierz i com tylko na pamięć umiał.

Wtem wprowadzają mnie do karczmy. Wchodzę, patrzę, a tu siedzi za stołem znajomy mój Gieldek, parobek jak drag i płacze. Śmiech mnie porwał na widok tego zucha płaczącego. „Cóż, ty płaczesz?” zapytałem go z wielkim zadziwieniem i na wpół ze śmiechem. — „O! płaczę i ubolewam sobie, bo nie wiem, czy jeszcze kiedy przed śmiercią zobaczę swoich. Bo mnie biorą do wojska i mam iść na jakąś wielką wojnę.”

Tu poznałem, co się ze mną dzieje. Smutno mi się zrobiło w duszy, ale wnet zawolałem: „To będziemy bili, bo nam to Pan Bóg nie dał siły?” Za chwil kilka ruszyliśmy w drogę mimo ciemnej nocy. Ojczym mój, sołtys i włódarz jechali konno z boków, a my zabrani szliśmy w środku między nimi.

Gdyśmy już byli spory kawałek drogi za wsią, szepnąłem do ucha Gieldkowi: „Zrzućmy ich z koni, a sami dosiądźmy koni i uciekajmy. Ale że mnie się nie godzi ojczyma zrzucać, ty go więc zrzuć, a ja włódarza; a sołtys stary nas nie dogoni.” Zrobiliśmy tak. Nuż więc zaczęliśmy uciekać, aż ziemia święta pod nogami nam stękała. Powstał za nami krzyk, wołanie, aleśmy się w mgnieniu oka tak da-

leko posunęli, że przy wicherze nocnym nie już nie było słyhać. — „Na próżno nasza ucieczka — mówiliśmy sobie jednak — prędzej czy później chwycą nas i wezmą. Stańmy więc, czekajmy — niech się dzieje wola Boża nad nami. Będzie Bóg chciał, to zginiemy na wojnie; prosimy Go tylko, abyśmy bez księdza i bez Spowiedzi świętej nie zginęli.“ —

Zaczekaliśmy za naszymi przywódcami, a gdy nas dobiegli, pozwoliliśmy im wsiąść znowu na konie, i tak nas wprowadzili do Dłoni. Przenocowaliśmy tu w mielcuchu. Gdy zaświtało, pobiegłem czempredziej pożegnać się z matką i prosić ją o błogosławieństwo ostatnie, bo mi się tak ciągle zdawało, że już na śmierć idę. Nie mogło się od żalu utulić kochane matczyisko; przeżegnała mię święconą wodą, uściskała i zaczęła płakać nademną mówiąc: „Idź z Bogiem dziecko; już cię pewno na ziemi nie ujrzę, ale gdziekolwiek będziesz, pamiętaj o Bogu, a dobrze ci będzie.“ Z rodzeństwem pożegnać mi się nie pozwolono. —

Tymczasem nasprowadzano nocy ubiegłej i nad ranem jeszcze wielu innych z rozmaitych stron, zamknięto w owym mielcuchu przez dzień, a gdy noc nadeszła, odprowadzono nas do Rawicza.

Wojna z Prusami i Moskwą.

W Rawiczu zebrano nas około stu chłopów i oddano pod komendę kapitana Żychlińskiego, dziedzica dóbr Zaborowa. Stary to był Polak, siwy jak gołąbek, ale ostry jak na żołnierza przystoји. Śmiesznać to była ta kompanija nasza Rawicka, bo to jeden był tak ubrany, drugi inaczej — ten miał buty, a ów boso, — jeden miał czapkę siwą z wstążkami, inny wykrawankę; ale porządek był dobry. Wyćwiczwszy się nieco w Rawiczu przez niespełna sześć tygodni w maszerowaniu, nabijaniu i strzelaniu, poszliśmy do Poznania, gdzie nas odebrali Francuzi.

Nigdy nie zapomnę zdarzenia, jakie się stało w moich oczach zaraz pierwszego wieczora w Poznaniu. Dano mnie na kwaterę z dwoma Francuzami. Jeden z nich okrutnie się czegoś gniewał, ale nie wiem czego, bo wtenczas nic jeszcze po francuzku nie rozumiałem. W złości porwał chleb i rzucił na krzyż Pana Jezusa stojący na stole. Dreszcz mnie przeszedł na widok takiej bezbożności.

Pocziwy księżyk, który tam był właśnie obecny, poszedł natychmiast ze skargą do starszych, i jeszcze tego wieczora wykwaterowano obydwóch Francuzów.

Ale i Bóg skarał tego bezbożnika, bo na własne oczy widziałem, jak pod Tczewem pierwsza kula nieprzyjacielska jego na miejscu zabiła.

Dwa dni po przybyciu do Poznania dali nam ostre ładunki, ubrali jak mogli i wykomenderowali do transportowania zabranych pruskich i rosyjskich żołnierzy do Berlina, gdzie już byli Francuzi. Było nas pięćdziesiąt piechoty wołyżerów i pięćdziesiąt konnicyszwoleżerami zwanéj, a jeńców było około trzystu chłopca bez broni i kija. Ja we własnych butach szedłem aż do Berlina. Prowadziliśmy ich na Bytyń, Pniewy, Międzyrzecz i Cielęcko. Za Cielęckiem zabiegli nam drogę Prusacy, którzy jeszcze w Kistrzynie się bronili. Przepalkowski, na którego pogrzebie byłem w Poznaniu, a który w ówczas jeszcze jako porucznik komenderował nami, odegnał konnicą naszą zabiegających nam drogę. — My piechota tymczasem oparliśmy broń o ziemię i stojemy, czekając aż nasza konnica wróci. Nagle zaczynają nasi jeńcy rznąć sobie kije grube w lesie, przez któryśmy właśnie przechodzili.

Nie wiedzieliśmy co to znaczy, bośmy jeszcze wszyscy byli głupi. Na szczęście przybywa Przepałkowski i woła: „Dzieci, bo to nie ma krwi we was?“ Dopierośmy poznali, na co miały być te kije; jak zaczniemy strzelać do nich, to jak muchy padali. Ale że złożyli kije i prosili o pardon, daliśmy im pokój, wszelako o głodzie i chłodzie prowadziliśmy ich odtąd na Frankfurt nad Odrą do Berlina, gdzieśmy ich Francuzom oddali. Z Berlina wróciliśmy do Poznania, a stąd wkrótce ruszyliśmy pod Grudziądz. Tu z fortecy wypadli Prusacy i zmusili nas do odwrotu, bo nas jeszcze było mało i to świeżego po większej części żołnierza, a nawet nie mieliśmy jeszcze ładownic, tylko kieszonki na piersiach przy mundurze do ładunków. Trzy mile cofaliśmy się napowrót ku Poznaniowi. Przybyło nam jednak dużo Polaków i Francuzów na pomoc, zaczęliśmy więc na nowo prażyć ogniem nieprzyjaciela i to tak, że zmiatał, aż się błoto za nim kurzyło.

Potém ruszyliśmy pod Tczewo. Komen-derował nami generał Dąbrowski, co przyszedł był z Włoch. Syn jego był pod nim pułkownikiem, czy podpułkownikiem, dobrze już nie pamiętam. Kapitanem naszym był Jasielski rodem z Borku, który z nami odtąd był ciągle, aż zginął jako podpułkownik w Hiszpa-

niji w bitwie pod Rondo. Nasz batalijon składał się z ośmiu kompaniji: to jest z pierwszej, drugiej, trzeciej, czwartej i piątej kompaniji fizyljerów, jednej kompaniji, grenadyjerów i z kompaniji wołytyżerów czyli strzelców, do których ja należałem. Ubiór nasz stanowił: granatowy mundur z białemi wyłogami i guzikami, z kołnierzem czerwonym, czapka czworograniasta stojąca granatowa z sznurami białemi i kokardą polską na przodzie, spodnie granatowe z wypustkami zielonemi i kamasze. —

W Tczewie Prusacy tego się bronili, aleśmy ich jednak zmogli. Ja pierwszy raz wtenczas szedłem w bój porządny. Nogi podemną zadrzały, duszy nie czułem prawie w ciele, gdy nam strzelcom dano znak do tyralerki. Ale ledwom raz wystrzelił i zobaczył, że kulki świstają a żadna mnie nie trafia, pomyślałem sobie: „człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi,“ proch mnie obszedł, strach minął i odtąd nie bałem się już nigdy, gdyśmy bitwę zaczynali. Jeszcze wieczór nie nadszedł, a już Prusacy co żywo uciekali ku Gdańsku, a na Wiśle pod Tczewem widać było pływające kapelusze stósowane i warkocze. Bośmy ich też wtenczas niemało położyli trupem, i niemało nagнали do rzeki; ale i naszych też dużo zginęło. Sam nasz generał Dąbrowski został rannym w nogę, a syn jego w rękę..

Zpod Tczewa pędziliśmy nieprzyjaciela przed sobą aż się zamknął w Gdańsku. Tuśmy stanęli obozem i przez dwanaście niedziel podkopywaliśmy się coraz bliżej pod miasto. Nieprzyjaciele głównie nam szkodzili z samego miasta i z cytadel, które były na Biskupiégórze, na Gradówégórze i przy ujściu Wisły. Staraliśmy się odebrać im którą z tych warowni. My Polacy mieliśmy obóz i szanice na przeciw Biskupiégóry. Nie mogąc odebrać żadnej cytadeli, chcieliśmy nieprzyjacielowi niedopuszczyć żywności. A że żywności najwięcej odbierał od strony morza, postanowili starsi nasi odebrać mu wyspę, na której samych tylko widziałem Moskali. Przed wieczorem więc dnia jednego wywołano nas przed obóz i zapytano, ktoby chciał iść na ochotnika. Nie wiedzieliśmy dokąd pójdziemy; myśleliśmy że gdzie na wieś, więc się pokrzepimy, bo nas pod Gdańskiem biednie żywiono. Zgłosiłem się przeto i ja z pięcioma innymi z naszej kompaniji. Tymczasem nadchodzi noc, a tu każą nam iść na brzeg rzeki i siadać w łódki. Jędziemy po owęj rzece, a nie dadzą nam prawie ani oddychać, a broń Boże żeby który z nas był miał zakaszleć. Przy płynęliśmy nad brzeg wyspy. Dopiero nam starsi powiadają, że tu trzeba zwyciężyć albo zginąć, bo do téj wyspy dowożą nieprzyjacielowi Anglicy

żywność. Trzeba ją wziąć, a głodem umorzymy nieprzyjaciela: Jesteśmy na wyspie, naokoło nas woda: innego ratunku nie ma dla nas, tylko zwyciężyć. Do dziś brzmią mi jeszcze w uszach te słowa, i do sądnego dnia o nich nie zapomnę!

Moskale obchodzili byli właśnie jakiś bankiet téj saméj nocy. Napadliśmy ich niespodzianie i jakeśmy się zaczęli strzelać, żgać bagnetami, topić, to aż skóra na mnie drży, gdy wspomnę na tę chwilę. Co zostało przy życiu nieprzyjaciół, łódkami przewieźliśmy do swoich w niewolę, a Francuzów zostawiliśmy na téj wyspie¹⁾ załogą. W sam dzień Bożego Ciała dobyliśmy nareszcie Gdańska i weszliśmy do miasta²⁾. Ja choć kulawy, bo ranny w nogę, szedłem za drugimi w téj nadzieji, że się czem pokrzepię, bo pod Gdańskiem bieda nam była wielka. Ciągłe bowiem trzeba było pod gradem kul i pod gołym niebem przebywać.

Raz wypadli Prusacy w nocy i chcieli nas z szanców wypędzić. Ale, że ciemno było, wpadli więc w nasze rowy, w których my jeden obok drugiego stojąc czuwali, dostawszy

1) Była to niezawodnie wyspa Holm, którą w roku 1807 przy oblężeniu Gdańska w nocy z dnia szóstego na siódmy Maj odebrano.

2) Dnia 26go Maja 1807.

się tak w naszą łapkę, drogo przypłacili swą śmiałość. —

To obleżenie Gdańska było krwawe, bo nietylko że trzeba było ciągle się ucierać z nieprzyjacielem, ale jeszcze pracować. Kopaliśmy bowiem ustawicznie rowy, sypali wały, a coraz bliżej miasta. Dnia jednego byłem daleko od obozu przy kopaniu rowów z kilkoma Polakami. Obiad nam w takim razie przynoszono. W on dzień czy zapomnieli o nas, czyli téż zjedli nasze porcyje — dość że nie przynieśli nam. Na wieczór przychodzimy do obozu spracowani, pytamy gdzie nasz obiad, ale dopytać się nie możemy. Zgłodniały idę za obóz szukać w pobliskiej wsi co do zjedzenia. Na nieszczęście wpadłem w rów pełen śniegu aż pod gardło. Jużem myślał, że w nim zostanę, aleć się przecież wydobyłem i tylem skorzystał, że mi się już i jeść odechciało. Pod Gdańskiem przez długi czas dostawaliśmy na dzień tylko kawałek chleba, ani nie kwaterkę kaszy lub grochu, i mięsa na dwa razy w usta. Czasem mi się tak jeść chciało, żem liście, które się na wiosnę z głąbów kapuścianych puszczały, zbierał, gotował i jadł.¹⁾ Drogość zaś była

¹⁾ Nie zgadza się przeto z prawdą, co mówi Thiers w swój Historyji Konsulata i Cesarstwa Tom 8 str. 190, jakoby Polaków pod Gdańskiem dobrze żywiono, a oni mało byli Francuzom pomocni.

tak wielka, że za kieliszek wódki dwa złote polskie zapłaciłem.

Kazano mi razu pewnego naprawiać nadpsuty szaniec. Stojąc na nim tyłem do miasta, robię sobie spokojnie, co mi się należało, wtem Prusak wziął mnie widać na cel, jak palnie, to aż kozła przewróciłem w rów. Zdrętwiałem prawie ze strachu leżąc w onym rowie, bo nie wiedziałem czy rękę, czy nogę straciłem. Wołałam wreszcie na towarzyszków w bliskości pracujących. Przybiegli, podnieśli mnie i dopiero się ucieszył, gdy ujrzał, że mi tylko mocno piętę u nogi zranił. Była to pierwsza rana w wojnie odebrana, ale, chociażem ich później więcej odebrał, żadna mnie tak nie bolała, jak ta. Będąc rannym, cieszyłem się po wzięciu Gdańska, w którym było dość zboża, wina i innych rzeczy, że przecież spokojnie się wygoję i wypocznę. Ale w Gdańsku zaledwie trochę wina dostałem od jednego z żołnierzy. Po dwudziestu czterech godzinach bowiem, które ja chory przeleżałem, wyszliśmy znowu do obozu, a po trzech dniach ruszyliśmy pod Frydland ¹⁾. Smutny to był marsz. Gdziekolwiek my przyszli, widzimy tylko sterczące okopcone kominy, zgorzeliska, opalone drzewa i sady całe, które co dopiero zielenić się po-

¹⁾ Frydland w Prusach.

częły. Byli to Prusacy i Moskale, co tak przed nami wszystko palili. Na dwanaście mil nie widzieliśmy ani jednej porządnej wsi, tylko same zgliszcza. To też głód dokuczał nam taki, że czego bym dziś w życiu nie jadł, wówczas za miód zjadłem: to jest końskie mięso, a nawet kota gotowanego, którego kawalek dali mi Francuzi. Bo Francuzi gdzie tylko mogli, nawet w Hiszpaniji gdzie biedy nie było, chwyтали koty i jedli. Ale mnie aż dziś jeszcze przykro, gdy sobie wspomnę na tę moją porcję. Pamiętam, że jednego dnia we wsi zgłodu urwałem sobie wiśni, które co dopiero *zapytać* się poczęły, i wstawiłem na kwaterze w garnku do ognia, a tu kobieta niepocziwa przypadła, plew mi weń wrzuciła i uciekła. To było jój szczęściem, że jój niedostał. Jedyną pociechą dla nas w téj biedzie był nasz kochany generał Dąbrowski. Pamiętam dobrze, było to rano, może jeszcze ze trzy marsze od Frydlandu. Chłodno i głodno idziemy smutni. W tém ów pocziwy generał konno, z zawiniętą nogą, bo mu się jeszcze nie była rana zagojiła, wjeżdża między nasze szeregi i zaczyna śpiewać:

Dalój dzieci, dalój żywo,

Otwiera się dla nas żniwo:

Marsz, marsz Polacy

Nie żałujcie swój pracy!

Był z nami i drugi polski jenerał Zajączek, ale już nie tak lubiony. Przyszliśmy wreszcie pod Frydland. Bitwa rozpoczęła się czternastego Czerwca (1807go roku), a była krwawa. Dwa dni trwał bój tak okropny, że człowiek od hukn nieoleddie ogłuchł. Zwyciężyliśmy jednak i nabili nieprzyjaciela niemało, choć i naszych dużo téż legło.

Rewija na Błoniu pod Warszawą i marsz do Paryża i Hiszpaniji.

Po tém świetnem zwycięstwie pod Frydlandem udaliśmy się do Błonia pod Warszawą. Tu naschodziła się wojska wielka liczba. Była dywizyja polska Dąbrowskiego, Zajączka i kilka dywizyi francuskich. Nazjeżdżało się nadto szlachty polskiej dużo. Aż miło było spojrzeć, ile to Polska miała wtenczas jeszcze bogatych panów i dzielnych rycerzy. Serce się śmiało, gdyśmy wiedzieli jak to Francuzi nadskakiwali Polakom, jakie im robili honory, a Polacy nawzajem jak gościnnie podejmowali starszyznę francuską. Na błoniach rozłożyło się całe

wojsko wesołe, bośmy wracali ze zwycięstw. Rano około ósmej godziny dnia pięknego zabrzmiała muzyka, odezwały się trąbki polowe i zaczęła się wielka rewija. To harcowała konnica z konnicą, to uderzała konnica na piechotę, to strzelcy rozsypywali się w tyraliery, to znów skupiali się, to ułani polscy defilowali, a wszystko chłopcy jak świece. Marsz wspaniały wszystkich dywizyj przy odgłosie hucznój muzyki zakończył rewiją.

Po niej wracaliśmy na Święty Michał do Poznania, gdzieśmy trzy ćwierci roku zabawili. W drodze z powrotem stanęliśmy raz na odpoczynek w mieście Warcie. Ja dostałem kwaterę u żyda. Tenże dał mi na śniadanie na brudnej łyżce tak brzydkiego masła, że nie miło mi o niem wspomnieć. „Komuś to dał Żydzie?“ mówię do niego. — „Nu! żołnierzo-
wi!“ — Jak go też chlasnę tą łyżką, to mu całe masło zostało na brodzie. Żyd rozgniewany zaczął mnie i wojsko wyzywać. Mało myśląc porwałem żyda, uderzyłem o ziemię, i nuże go płazować. Wtém wybiega z komory drugi żyd młody, schwycił mnie z tyłu za kołnierz tak, że mi oczy prawie na wierzch wyszły. Alem dobył wszystkich sił, wydarłem się obudwom i nakładłem im, że jeszcze dziś pewno pamiętają, jeżeli żyją. Żyd poszedł na mnie na skargę, ale warta przed naszym jene-

rałem stojąca wykolbowwała go dobrze i nie wpuściła. Wrócił żyd, a ja patrzałem na wszystko. — „Cóż ci powiedzieli żydzie?” — mówię do niego. — „Nu! żebym Panu dał jeść!” — „Żydzie, wołam na niego, jak mi teraz nie ugotujesz wieprzowiny, to cię uśmiercę.” — „Nu! ja dam koszerne mięsa!” — „Nie żydzie, gotuj świninę, albo trupem cię położyć!” i wtém celuję sztucerem do niego. Już żyd posyłał po wieprzowinę, alem się udobruchał i przyjął inne piękne mięso. Najadłszy się, wyszedłem; wychodząc mówię do żyda: „Żydzie, tu wisi mój tornister; jak mi co zginie, to cię żywo powieszę.” Usiadł więc żyd za stołem, a patrzył ciągle na tornister mój jak w tuza. Ja zaś z towarzyszami śmiejąc się przechodziliśmy mimo okna.

Takie to miałem zajście z owym żydem. Byłem wtenczas młody, i towarzysze moi młodzi, to zwyczajnie jak młodym pustota była w głowie, i mieliśmy w tem uciechę, żeby żyda wybić i wystraszyć. Ale dziś przyznaję się, że źle uczyniłem, i nawet ciężko zgrzeszyłem pastwiąc się nad owym żydem. Boć przecie i on stworzenie boskie, i trzeba go także kochać jak wszystkich bliźnich, a co się krzywdę żydowi wyrządzi, to tak dobrze grzechem, jak krzywda komu innemu wyrządzona. A do tego był to już stary człowiek z brodą, więc

tym większa moja wina, że ja młokos nad takim statecznym człowiekiem się znęcał. Ale to tak na wojnie bywa, że nieraz żołnierz myśli, że ponieważ ma broń w ręku, to mu już wszystko wolno. A to nieprawda, bo i na wojnie te same są przykazania boskie co i w innym czasie, a co grzechem w czasie spokojnym, to grzechem jest i na wojnie. —

Przybywszy do Poznania miałem najpierw kwaterę na Świętym Marcinie, potem za Świętym Wojciechem u niejakiejś pocziwój wdowy Kleczewskiej, później na Chwaliszewie; ale najlepiej pamiętam kwaterę na Wrocławskiej ulicy u jakiejś porządnej pani. Ledwo co byłem zeszedł z warty, przybywam późno w wieczór na kwaterę do niej zmęczony i zgłodniały, a owa pani prosi mnie bardzo mile, żebym usiadł, rozmawia i wypytuje się o wszystko. Ja chętnie odpowiadam dopóki widzę, że na kominie coś się warzy. Ale gdy się to uwarzyło, a ja nic nie dostałem, nie chciało mi się dalej rozmawiać. Wtem sama pani pyta mnie, czy nie mam co do gotowania, a tu już późno w wieczór. „Mogłaś mnie się tak prędzej zapytać, moja pani, rzekłem rozgniewany, kiedyś taka skąpa, że mnie zgłodniałemu łyżki strawy żałujesz. Ja przez dobroć nie chciałem nic mówić, ale kiedyś tak skąpa, to jeszcze dziś musisz mi gotować groch z mięsem, a jak mi

nie dogotujesz, to ci pokażę co to żołnierz polski.“ — Ugotowała więc służąca jój wszystko jak najlepiej, ba, nawet sama pani krzątała się koło komina, żeby jak najprędzej było gotowe. —

Stałem także jednego wieczora na warcie przy moście Chwaliszewskim. A mieliśmy rozkaz niewpuszczania po ósmej godzinie wieczorem nikogo przez most bez latarki. Po dziesiątej zaś godzinie niewolno było ani z latarką przepuścić. Już było po godzinie dziesiątej, ciemno i cicho, a ktoś zdążył obok mnie ku mostowi. „Kto tam?“ wołam. Nikt się nie odzywa. „Kto tam?“ wołam drugi raz. — „Puść mnie żołnierz przez most, dam ci dwa złote, bo mam pilny interes,“ — odezwał się nieznajomy i położył mi dwa złote na drzewie przy moście leżącym, a drze się gwałtem na most. — „Nie mogę cię puścić, choćbyś był mojim rodzonym bratem.“ — A on gwałtem wdziera się na most. Już mnie téż niecierpliwość wzięła; jak go uderzę kolbą w bok, aż się nieborak położył. „Stój, daj pokój, odrzekł nieznajomy, bo nie wiesz kogo bijesz!“ — „Nie wiem, to prawda, odpowiedziałem, ale taki mam rozkaz, więc go pełnić muszę.“ — „Ja jestem podpułkownik Straszewski, alboż mnie to nie znasz? za ten bizon, coś mi dał, jutro odpowiesz!“ — Poznałem go. Prawda to on;

co to jutro ze mną będzie! aleć ja wypełniłem rozkaz. Takie myśli wiły mi się po głowie przez całą noc; chciałem je od siebie oddalić, ale one jak mara cisnęły mi się ciągle do głowy. Nazajutrz zapowiadają nam paradę. Podczas niej wołają przed front wszystkich żołnierzy, którzy dnia poprzedniego po godzinie dziesiątej stali na strażach. Występuję więc i ja, ale mi nogi drżą jak ośowe liście, a serce bije jak młot we mnie. — „Kto stał wczoraj o tej a o tej godzinie przy moście Chwaliszewskim?“ pyta się podpułkownik Straszewski. — „Ja“, — odrzekłem. Ale mi prawie tchu brakło do wymówienia tego jednego słówka. — „Słuchajcie wszyscy, zawołał głośno podpułkownik, co mi zrobił wczoraj Daleki; kolbą mnie uderzył tak, żem się na ziemię potoczył. Na co zasłużył? osądźcie sami!“ Ja słucham co kto powie, ale nikt się nie odezwał. Wtem podpułkownik sam rzecze: „Bon garson, dobry chłopiec, dobry żołnierz! Wypełnił rozkaz wojskowy. Dawałem mu dwa złote, żeby mnie przez most przepuścił, a on nie tylko że nie wziął dwóch złotych, ale mnie nadto kolbą do odwrotu zmusił. Tak powinniście wypełniać rozkazy wojenne! A ty, mówił dalej Straszewski obracając się do innego żołnierza, który był wziął dwa złote i przepuścił go tego samego wieczora przez inny most, — ty oddaj zaraz dwa złote, i bierz-

cie go natychmiast do aresztu, bo zhańbił honor żołnierza.“ Ochłonęłem ze strachu. Straszewski zaś przybliżył się do mnie i rzekł po cichu: „Dla tegomci wczoraj groził i dziś tyle strachu narobił, boś mnie po polsku wczoraj twą kolbą przywitał.“ — Przeprosiłem go pięknie, a on mnie poklepał po ramieniu i rzekł: „Nic nie szkodzi, choć boli, kiedy to od swego.“ — Żał mi było bardzo w Poznaniu będąc, że kościoły tak były zniszczone. U Sióstr Miłosierdzia bowiem były więzienia dla zabranych Moskali i innych. U Dominikanów robili francuzcy kołodzieje i rzemieślnicy, tylko w kaplicy Najświętszój Maryji Panny Różańcowej nabożeństwo się odprawiało. U Panny Maryji przy Tumie była słoma. W kościele Ś. Józefa także była słoma, ale i lazaret. Nie zapomnę go nigdy, byłem bowiem raz komenderowany na wartę do niego. Chorzy leżeli na ganku, gdzie się całą noc paliła lampa. O godzinie dziesiątej zamykano bramę i nikogo nie wpuszczano. Ja położyłem się na ławie na ganku stojąc. Wtem przychodzi do mnie jakiś wielki pies szary. Strzelam, ale on stoi. Przeżegnałem się, a pies ów krąży koło mnie. Robię więc bagnetem naokół siebie i wpośród niego, stawam i robię krzyż święty. Pies znikł nagle. — Wychodzę na podwórze, by odetchnąć

po owym strachu, a tu coś głośno na gzymsie jakby kręgle kula pod dachem. Naraz i drzewo zaczyna ktoś rąbać na tym samym podwórzu w pobliskiej szopie; idę więc zobaczyć, a tu niema nikogo. O mało com nie uciekł z warty; ale przecież kogut zapiał i wszystko ucichło. —

Sasi nam téż w Poznaniu nie chcieli znać subordynacyji tak dalece, że jedna kompanija swego oficera, Francuza, na Chwaliszewskim moście zabiła i w rzekę z mostu zrzuciła, poczem ci żołnierze uciekli. Goniliśmy ich co żywo. Jedenastu schwyciliśmy w boru za Potulicami pod Rogoźnem, innych pod Szamotułami, a innych jeszcze pod Kaźmierzem, gdzieśmy ich nagnali we wodę, aż się wreszcie oddali w ręce nasze.

Dnia jednego wyszliśmy z Poznania do Leszna na patrol na czele mając księcia Sułkowskiego z Rydzyny. Żydzi Leszczyńscy wyjechali konno nam naprzeciw i zaczęli wołać: „Vivat nasz Jegomość książę Sułkowski! Niech żyje z łaski Pana Bożego! Niech żyje!“ — i wprowadzili nas tak do miasta, a my się z tego nie mało uśmiali.

Z Poznania ruszyliśmy znowu pod Warszawę. Tu nam powiedziano, że pójdziemy do Niemiec i będzie nam dobrze — bo nam

tam wszystkiego dać muszą; a my poszli przez Saksoniją do Paryża.

W Paryżu odbyła się wielka parada. Pamiętna mi ona jest, bom podczas niej widział polskiego wodza Kościuszkę. Ubrany był w granatową czamarkę. Nic już nieborak podobno nie widział, jeno go służący, jakiś Marcinek, pod bok trzymał i prowadzał. Przybliżył się do naszego szeregu polskiego i rzekł: „Mówcie co do mnie, niech téż jeszcze przed śmiercią usłyszę głos żołnierza polskiego.“ — Powiedzieliśmy mu z których okolic jesteście — ile pułków jest polskich i które to są. Chciał pewnie więcej mówić, ale zakomenderowano nami, Kościuszko wyrzekł jeszcze: „Tak się więc tulamy“ — i jużem go więcéj nie widział.

W Paryżu dał nam Napoleon wielki obiad, do którego należały tylko pułki polskie: czwarty, siódmy i dziewiąty. Ja byłem w ostatnim. A był to obiad nielada, bo jeść było dużo, wino beczkami nam wozili, a francuzka gwardya cesarska z krzyżami i orderami na piersiach nam usługiwała do stołu.

W trzy dni potem udaliśmy się do Wersalu, gdzieśmy złożyli polskie mundury, a dostali francuzkie. Piękny to był ubiór nasz wołyżerski. Mieliśmy bowiem kaszkiety czarne z zielonożółtém piórem i żółtym orłem na przodzie, nad nim była kokarda francuzka;

mundur granatowy z białymi wypustkami i białymi guzikami, epolety zielone z obwódką żółtą i frandzlami zielonemi, kamasze czarne lub białe stósownie do koloru spodni, i trzewiki lekkie. Broń naszą stanowił krótki sztucer z bagnetem z trzech stron ostrym.

Z Wersalu poszliśmy do Bordo¹⁾, a stąd do Bajonu²⁾. W Bajonie, już blisko granicy Hiszpańskiej, kazano nam wypocząć, dano nam wszystko, cokolwiek żołnierzowi przydać się może, łyżkę, nóż, igły, śpilki i inne drobne rzeczy nawet, i powiedziano nam, że idziemy do Hiszpaniji. —

Wojna Hiszpańska.

W sam Świąty Marcin³⁾ — słońce pięknie świeciło, muzyka nam ostro przygrywała, — przechodziliśmy góry, mnie się zdawało

¹⁾ Bordeaux.

²⁾ Bayonne.

³⁾ 1808go roku.

że aż do samego nieba sięgające, które są między Francją a Hiszpanią. Przeszedłszy granicę bitą ale wężykowatą drogą ujrzelśmy się w Hiszpaniji, w kraju zupełnie obcym. Z początku nie spotkaliśmy żadnego nieprzyjaciela, ale lud hiszpański bardzo z ukosa na nas patrzył. Dla ostrożności wszelako odbywaliśmy noclegi pod gołym niebem zdala od wsi i miast.

Dopiero pod Wiktoryją¹⁾ przyszło do wielkiej bitwy, w której sam Napoleon komendował. Widzę go jeszcze dziś, jak z całą paradą i wielką świtą jenerałów wspaniale ubranych uwijał się na koniu siwym przed frontem naszym, a kule świstały jak grad. Hiszpanie, których była wielka moc, ogromnie się bronili. Huk był taki, że aż ziemia drżała, ale nie nadszedł był jeszcze wieczór, a jużśmy ich pokonali. Wieluśmy zabrali w niewolę, reszta uciekała co mogła ku południowi.

Pod Burgos²⁾ drugi raz nam opór stawili, ale jakeśmy ich zaczęli prażyć, zmiotali wnet co żywo. My też za nimi posuwaliśmy się aż do Madrytu, stolicy Hiszpaniji.

W drodze stanęliśmy dnia jednego obo-

1) Vittoria miasto w północnej Hiszpaniji w Biskajskich prowincjach.

2) Burgos miasto w starzej Kastyliji.

zem nad jakimś czworobocznym kanałem. Gdy konie naszej konnicy z niego pić poczęły wodę, zaraz z nich na miejscu padło kilkanaście, a dwóch żołnierzy, którzy się z niego także napili, dostało takiego bólu brzucha, że ledwo nam nie umarli. Podobno woda ta była zatruta, dla tegośmy jeszcze téj samej nocy milę dalej odmarszerowali.

W Madrycie chcieli się Hiszpanie bronić, ale miasto nie pozwoliło, tylko powiedziało: chcecie się bić, to idźcie na otwarte pole. Udali się więc teraz Hiszpanie głównie na dwa trakty. Jedni szli na zachód ku Portugaliji, a drudzy ku południowi do Toledo¹⁾ I nas podzielono; jedni szli ku Saragosie, nasze trzy pułki, to jest czwarty, siódmy i dziewiąty, do którego ja należałem, przeszedłszy Somo-sierre i Madryt udały się ku Portugaliji, gdzie Anglicy mocno dopomagali Hiszpanom.

Idąc ku granicy Portugalskiej stanęliśmy obozem we wsi. Nazajutrz ruszyliśmy dalej, a jeden generał nasz został jeszcze z kompaniją wojska w téj wsi, nie wiem dla czego. Gdy on wyjechał, a kompanija miała za nim iść, naprowadzili ją chłopci na wojsko hiszpańskie. Podążyliśmy im na pomoc, ale już zapóźno, bo już ich byli Hiszpanie do szczętu zbili.

¹⁾ Toledo nad rzeką Tagiem w nowéj Kastyliji.

Tylkośmy ich ciała przykładnie pochowali. We wsi tymczasem nikogo nie było widać. Kapitan Jasielski został z naszym batalijonem drugim na górze pode wsią, a nas kilkunastu wykomenderował do wsi, abyśmy poszukali co do zjedzenia, a zarazem dowiadywali się o winowajcach. Szukamy po domach, żywěj duszy nie widać. Weszliśmy wreszcie do wielkiego domu, a tu w czwartym pokoju leży na łóżku śliczna, młoda niewiasta właśnie przy połogu. Dalіśmy jěj pokój, tylko donieśliśmy kapitanowi o niěj. Kapitan mówi do nas: „Pod wieczór pójdziecie jeszcze raz do tego domu; do těj niewiasty ktoś pewno przyjdzie.“ — Poszliśmy na wieczór i istotnie znaleźliśmy męczyznę młodego siedzącego przy jěj łóżku. Wzięliśmy więc podług rozkazu i męza i ową niewiastę i dziecko, i przyprowadziliśmy do obozu. Niewiastę słabą kazał kapitan szanować, dla tego roznieciliśmy ogień i kazali jěj z dzieckiem usiąść przy nim, a męza trzymaliśmy. Gdy noc minęła, niewiastę i dziecko odprowadziliśmy do domu, a męza wzięliśmy za przewodnika, aby nas wyprowadził szczęśliwie do naszych. A on wprowadził nas prosto na wojsko hiszpańskie. Już téż kapitana i złość wzięła, choć był dobry człowiek. Po cichu kazał nam iść na bok w óór, żeby nas Hiszpanie nie ujrzeli, a gdyśmy wyszli szczę-

śliwie z łapki do boru, kazał naszemu przewodnikowi związać duże palce u rąk w tył, przywiązać go do drzewa i bić, poczem dostaliśmy się szczęśliwie do swoich.

Ucieraliśmy się w drodze ciągle, ale na granicy Portugalskiej była wielka bitwa z Anglikami i Hiszpanami w samo Boże Narodzenie. Biliśmy się tak, że nam już siły prawie ustawały, aleśmy Bogu dzięki zwyciężyli. Naszych też dużo w tej bitwie zginęło, mianowicie ułanów, którzy się byli za nadto zapędzili na most¹⁾ tak, iż Hiszpanie na lance ich brali i z mostu w rzekę żywo zrzucali. Więcej jednakowoż zginęło Hiszpanów, a wielką moc narodu nabraliśmy do niewoli, nawet i księży dużo.

Jednemu księdzu zabranemu — pamiętam dobrze — po owej bitwie klóski gotowaliśmy i dawaliśmy, boć to osoba duchowna; ale nie chciał nic jeść, tylko smutny siedział na odwachu. Trzy niedziele chodziliśmy po Portugaliji, jużesmy byli blisko Lizbony, stolicy Portugalskiej, aleśmy dostali rozkaz i wrócili się do Hiszpaniji do Toledo. —

Przeszło ośm miesięcy staliśmy w Toledo w kościołach albo celach klasztornych. Obsta-

¹⁾ Był to niezawodnie most na rzece Tagu, na granicy Portugalskiej.

pili nas tu prawda Anglicy i Hiszpanie i tak do nas bili z armat, że ziemia się trzęsła. Puszczali bomby i kule palące się, ale to nic nam nie szkodziło, bo miasto było obmurowane murem grubym kamiennym. Spokojnie więc siedzieliśmy w mieście i w karty grali. Ja sam wygrałem podczas gradu kul armatnich pełne kieszenie i pełen kaszkiet samych talarów pięciofrankowych francuzkich. Ale to tam człowiek o pieniądzu nie dbał, bo nigdy nie był pewien życia, a pieniądze jeno ciążyły przy marszu. Najgorzej było, żeśmy wody nie mieli w cytadeli za miastem, w której ja byłem. Trzeba więc było wśród strzałów nieprzyjacielskich albo nocą chodzić po wodę.

Będąc w Toledo, gdzie wiele i wielkich widziałem kościołów, poszedłem raz do kościoła. Wchodzę i oddaję najprzód pokłon Bogu, a potem podnoszę oczy na ludzi, a tu wszystko w czerni. Najśodsze Imię Jezus, myślę sobie, czy ja tu między potępieńcami? Ale przychodzi do mnie człowiek, — pewnie kościelny — i widząc mnie klęczącego, bierze mnie pod rękę i prowadzi. Jużem myślał, że żywo nie wyjdę na świat, a tu on prowadzi mnie na gradus ołtarza wielkiego, i każe uklęknąć obok księdza. Klękam i mówię sobie pobożnie pacierz po polsku jak mnie matka nauczyła, a oni z księdzem odmawiali sobie pewnie litanią, bo ciągle odpo-

wiadali księdzu tak jakby „Módl się za nami.“ Skończyli, a mnie znowu bierze pod rękę ów człowiek, odprowadza do drzwi i mówi do mnie: „bono katoliko — romano,“ to jest: dobry katolik rzymski.

Poszedłem jeszcze raz z innymi towarzyszami do tego kościoła. Ale że oni zaczęli rozmawiać i śmiać się, wyszedłem, żeby nie obrażać Boga w kościele, a i Hiszpanie byliby nas mogli za to zabić.

Z Toledo wychodziliśmy ciągle na patrole. Pod Arangoz ¹⁾ przetrzepaliśmy mocno Hiszpanów, bo ich tam znowu dużo się na nas zebrało, i wróciliśmy napowrót do Toledo, gdzie się znowu zbrali na nas, ale my ich niespodzianie napadli i rozegnali.

Niedługo potem dowiadujemy się że wielka liczba Hiszpanów szykuje się na nas pod Almonaz ²⁾. Pospieszyliśmy ku nim i nastąpiła zjadła walka. Pod księciem Sułkowskim dwa konie ubito. Nie mogliśmy Hiszpanów ruszyć, ale i oni nas też nie mogli. Hiszpanie usadowili się w zamku obwarowanym na górze i zaczęli nas z armat ostro prażyć; ustąpiliśmy przeto na prawo może z ćwierć mili od tej

1) Aranjuez w Nowej Kastylii nad rzeką Tagiem.

2) Almonacid de Toledo.

cytadeli pod miasto Okania¹⁾. Na obszerném polu rozłożyliśmy się, a było nas wszystkich podobno do pięćdziesiąt tysięcy chłopów. Hiszpanów zaś miało być jeszcze więcej. Sami bowiem pisali do nas, abyśmy się poddali, bo ich jest siedmiu na nas jednego. My się jednak nie bali. Uderzyliśmy na nich najpierw w kolumnach, ale daremnie, bo mieli dużo konnicy, która nas rozbić chciała. Utworzyliśmy więc trzy czworoboki, to jest każdy pułk stanowił jeden czworogran; z samych Polaków składały się te czworoboki, bo tylko czwarty, siódmy i dziewiąty pułk do nich wchodziły. Czworograny te były w jednéj linii i to tak byliśmy w nich ustanowieni, że trzy pierwsze rzędy nadstawiały bagnety jedne nad drugimi, a trzy następne rzędy przez nie strzelały. W środku zaś mieliśmy po trzy armaty, które raz poraz rozstępując się w rogu czworoboku wypuszczaliśmy z środka do dania z nich ognia. Tymczasem inne wojska nasze ucierały się w rozmaity sposób z nieprzyjacielem. Hiszpanie ustawiczny do nas przypuszczali szturm, to znów z armat ognia dawali, ale niezbyt szkolidwie, tak że sądzili, że nas się kule nie chcą imać. Jeden generał Hiszpański wór pieniędzy włożył w armatę i kazał nim wystrzelić, ale

1) Ocana w Nowej Kastylii.

i to im nie pomogło. Poszliśmy wreszcie na bagnety, a nasza tęga artylerya Hollenderska dała równocześnie ognia z armat i przemogliśmy ich. I to szczęście nasze, bo ledwieśmy zwyciężyli, a tu widzimy ogromną masę ludu wysypującą się z lasu oliwnego, spieszącą na pomoc Hiszpanom. Rozpędziliśmy jednak i tych, i pędziliśmy wszystkich aż pod góry Serra Moreńskie ¹⁾. Stojąc tam dwa tygodnie przepędziliśmy ich powoli za góry, a sami wróciliśmy do Mansanares ²⁾.

W Mansanares zebrali nas Polaków do kupy w sześć kompaniji, do tego przyłączono ułanów polskich i kiraserów i huzarów francuskich, ogółem ze trzy pułki konnicy. Wzięli bowiem z każdego pułku polskiego po dwie kompanije. Tak oddzieleni od swoich chodziliśmy blisko trzy lata. Każdy batalijon miał kompaniją grenadyerów i kompaniją strzelców czyli woltyżerów, do których ja należałem. Jenerałami naszymi byli: Walans, ³⁾ Żyro, ⁴⁾

1) Sierra Morena zowie się pasmo gór w południowej Hiszpaniji na pograniczu Nowej Kastyliji i Andaluzyi. —

2) Mansanares miasto w Nowej Kastyliji.

3) Valence.

4) Giraud.

Sul¹⁾ i inni. Osobliwie byliśmy pod komendą marszałka Sobestyjana.²⁾ Książę Sułkowski i inni polscy jenerałowie zostali przy pułkach w tyle. Z Polaków mieliśmy z sobą najwyżej kapitanów. Kiedy nam szło dobrze, tośmy szli naprzód, a gdy nam było ciężko, tośmy się cofali do swoich.

Lubośmy w Mansanares wielkie założyli sobie magazyny, jednakowoż musieliśmy się cofnąć pod Konswegrę,³⁾ bojąc się Hiszpanów. Pobiliśmy ich znowu, i pod Konswegrą rozłożyliśmy obóz.

Ledwieśmy trochę odpoczęli w obozie, a tu przychodzi do mnie kapitan nasz Jasielski i mówi: „Jędrzeju masz tam co do zjedzenia?”

„Nie mam nic, Panie Kapitanie, a co gorsza, sam umieram prawie z głodu.“ — „No ty dobrze mówisz po hiszpańsku, więc idź do miasta i przynieś co możesz.“ —

Idę, wchodzę do miasta ostrożnie, a tu ogromny rejdwach. Nasi ułani już się kręcą po ulicach, a Francuzi poustawiali broń w kozły i weszli do domów. Każdy brał, co mógł, bo każdy był zgłodniały. Ja widzę przy broni

1) Soult.

2) Sebastiani.

3) Consuegra w Nowej Kastylii.

przed jednym domem stósy chleba, więc mało myśląc łap za trzy bochenki, dalej z nimi do torby i w nogi. Aż tu Francuzi wybiegają z domu i krzyczą. Ja udaję, że nie słyszę i zmykam, co siły jak lis z gęsią do obozu. Nakleli się do woli, ale widząc że to swój, dali pokój. Po drodze wszedłem do domu jednego, a tu pełno wina, likierów i mięsa różnego. Bogu dzięki, myślę sobie, teraz się pokrzepię. Jeść nie było czasu, ale za to dobrze pociągnąłem sobie smacznego winka, i choć tam byli inni oficerowie, przeprosiłem ich, nalałem sobie w jedną flachę likieru, w drugą wina, wziąłem porządną szynkę na plecy i krocze do obozu.

Kapitan o mało mnie nie uściskał za to, gdym mu i wino i likier i szynkę z chlebem oddał. Zaczęli sobie oficerowie nasi polscy zajadać, a ja poszedłem na bok, gdzie stał feldwebel nasz Imbierowicz, pocziwa dusza, z którym wszystko razem dzieliłem. Pyta mnie, gdzie byłem? Ja mu powiadam, a on na to:

„Nie masz tam jeszcze co w torbie?“ —

„Mam trochę chleba i mięsa.“ —

„A pić nie przyniosłeś?“ —

„Przyniosłem, ale dał kapitanowi.“ —

— „Widzę żeś sobie dobrze pociągnął, bo ci się oczy świecą jak kotowi!“ rzecze do mnie dalej.

„Piłem prawda, ale nie dużo, bo sam rozum nakazywał obawiać się zdrady — jednak mi dziwno żem taki rozmarzony.“

„Ej to minie, na powietrzu świeżem wnet wytrzeźwiejesz, widać żeś nowicyjusz do flaszki.“ —

Wieczorem tego samego dnia odebraliśmy rozkaz, że w największej cichości o pierwszej godzinie w nocy mamy stanąć pod bronią. Gdy pierwsza wybiła, staliśmy już wszyscy gotowi do marszu. W tém mnie napadło takie drzenie całego ciała, że w żaden sposób nie mogę się utrzymać na nogach. Imbierowicz to widzi, i pyta co mi jest? Powiadam, że ledwo żyję, a on do mnie:

„Wiesz co, nim dadzą rozkaz do pochodu, idź za szereg i usiądź trochę, ale na Boga nie zaśnij!“

Ja wlekę się na bok, kładę coś pod głowę, ale sen jak ołów cięży mi na oczach. Zasnąłem, budzę się, a tu już świtać poczyną, naszych ani słyszać ani widać, tylko słyszę nad głową moją jakiś gwar. Wnet widzę i dwóch chłopów hiszpańskich przy mnie. Zdretwiałem; leżę jak nieżywy, a tu słyszę nad sobą po hiszpańsku:

„Patrzo, tu śpi jakiś francuzki złodziej!“

— „Czy masz swój wielki nóż przy sobie?“

„Nie, nie mam.“ Ale podnosi jeden ka-

mień i daje drugiemu mówiąc: „Oto kamień dobry, uderz w łeb, a prędjéj umrze.“

Te ostatnie słowa hiszpańskie: „Tumusted una piedra echa la kawesa pronto mori“¹⁾ tak pamiętam jakbym je dziś słyszał i do dnia sądnego ich nie zapomnę. Myślałem, że już ostatnia godzina dla mnie wybiła. Otwieram więc oczy, a oni widząc że patrzę na nich witają mnie: „Buonos dies kawalero, ke strawacho fatusted Senior,²⁾ to jest: Dzień dobry kawalerze, co robisz panie?“

„Cóżbym robił, moji panowie, oto leżę chory i ruszyć się nie mogę!“

„Ty łotrze, zawołał starszy — dziś udajesz chorego, a wczoraj ileś domów zrabował w mieście?“

„O nie, moji panowie, ja wczoraj jeszcze byłem słabszy jak dziś, jakże więc miałem rabować?“

„Zaraz się to pokaże,“ krzyknął znów starszy.

I dalej zaczynają mnie rewidować i cały tornister przetrząsać mówiąc: Jeśli znajdziemy jakąkolwiek rzecz zrabowaną u niego, to go zabijemy.

1) Toma usted una piedra, echa a la kabeza, pronto morira.

2) Buonos dies cavallero, que travajo face usted Senor?

Na mnie pot prawie śmiertelny wystąpił, bom miał dwie koszule, którem wziął w jednym domu, bo jakżeż miałem bez koszul chodzić, a zresztą starsi mi je wziaść kazali. Wiedziałem nadto jak Hiszpanie okrutnie mordowali naszych, gdyśmy szli z Portugaliji.

Jednego Francuza złapawszy, pourzynali mu po kawałku ucha, nosa, palcy u rąk, pogruhotali mu całą głowę kamieniami i zakopali tak aż do pasa w ziemię. Innych zabijali i zasypywali ziemią, ale pokazali ręce, albo nogę, albo głowę. Aż strach wspomnieć na takie morderstwa.

Myślę sobie, to pewnie i zemną tak dziś będzie. Ale szukają i nic nie znaleźli. Nie wiedzą więc, co zemną robić. Patrzą na mnie strasznie, a ja na nich miłosiernie bardzo.

„Cóż zrobimy z tym człowiekiem?“ mówi jeden do drugiego.

A ten drugi zapatrzył się w inną stronę, gdzie się kręcili mieszczanie i dużo ludu, który przybył do opuszczonego przez naszych obozu.

Ale nadszedł ksiądz.

„Buonos dies kawalero,¹⁾ to jest: dzień dobry kawalerze,“ — zagaduje mnie znowu ów ksiądz, a za nim dużo ludu przybiegło i cieszyło się nademną co niemiara.

¹⁾ Buonos dies cavallero.

Ksiądz uciszył ich, a mnie kazał iść za sobą na probostwo. Gdyśmy przybyli, dobył papieru i zaczął mnie egzaminować. Powiedziałem mu szczerą prawdę, że polski żołnierz, daleko od swojej ojczyzny, i inne rzeczy o które się pytał. Tymczasem w sieni zebrało się mnóstwo ludzi, a kobiet najwięcej, które niestworzone rzeczy na mnie wygadywały. Ksiądz jednak nie zważał na ich wrzaski, tylko rzekł do nich:

„Moji ludkowie, ten człowiek powiada, że jest Polakiem i katolikiem. Zobaczmy czy to prawda.“ To rzekłszy kazał mnie dwom chłopom rozebrać prawie do koszuli. Ale na szczęście ujrzał szkaplerz na piersiach moich, zawołał więc pokazując szkaplerz:

„Si, verdad Senior, este es katoliko Romano ¹⁾. Prawda jest katolikiem rzymskim.“

Po tych słowach jakby ręką przewrócił. Ustały krzyki, pomsty, a księżyk pocziwy — Panie daj mu niebo — kazał mi podać kawał prześlicznego salcesonu i jakiś dobrą wódkę, co po hiszpańsku „Rossoli“ nazywają. Podał mi tego rosołu w kieliszeczku małym. Ja po tej chorobie wczorajszej taki byłem zgłodniały, że bym był tę wódkę z kieliszkiem razem połknął, ale, niewiedząc co dalej będzie zemną,

¹⁾ Si verdad Senior, este es catholico Romano.

miłosiernie dziękuję, a salceson schowałem do kieszeni.

Wtem obrócił się ksiądz do ludzi i powiada: „Moji ludzie, choć go zabijemy, cóż nam z tego będzie, chyba to, że przyjdą Francuzi i jeszcze raz nasze miasto zrabują. Tén człowiek jest naszym bratem katolikiem, trzeba nad nim mieć litość, bo inaczej Bóg by nas może za niego karał.“ A do mnie obracając się rzekł: „Gdzież chcesz iść teraz, czy do naszego wojska, czyli téż do swoich?“

„Do swoich,“ mówię litościwie.

„A wiesz dokąd oni szli?“— „Pod Santa-Krus,“¹⁾ odpowiadam.

„Si Sennor“ mówi mi ów księżyk. „Prawda, wiem o tem, i cieszy mnie, że prawdę mówisz.“

Potem otworzył okno, zawołał jakiegoś chłopaka, kazał przygotować dwa muły do podróży. Mnie zaś nalał w moją manierkę owego rossoli, oddał broń i obficie zaopatrzył w żywność.

Pożegnałem ze łzami zacnego księdza i ruszyłem w drogę do swoich na osielku jednym, a na drugim siedział ów chłopak, który mnie prowadził. Strzelali na nas chłopcy hiszpańskie, kule jeno tak gwizdały koło ucha. Ale ów

¹⁾ Santa-Cruz w Nowej Kastylii.

chłopak jak zaczął kijem jakby od cepów obkładać swego osielka, a mego szturchać, to biedne zwierzęta drepcily co żywo po górach. Mnie piechurowi od tego drepcenia tak było przykro, że aż mi zęby szczekotały, a salceson w tornistrze to jeno tak tańcował, jam zaś na owym ośle gibał się z jednej strony na drugą jak wiecha.

Dziś to trochę śmiesznie, ale wtenczas nie było mi do śmiechu. Przybyłem szczęśliwie do swoich. Chłopcu dałem nieco żywności, kazałem wracać do domu, i prosiłem go, żeby jeszcze raz pięknie podziękował dobrodziejaskowi.

Pierwszy, którego z naszych spotkałem był poczciwy Imbierowicz. Pyta mnie zaraz:

„Gdzieś ty był, żem cię tak długo nie widział?”

„A jakeś mnie miał widzieć, kiedy ja dopiero wracam z Konswegro!”

„Co ty gadasz człowiecze! Toś chyba zasnął wtedy?”

„Naturalnie, żem zasnął i basta!”

Tu odpowiedziałem mu całe zdarzenie i po-dzieliłem się z nim likierem i salcesonem. On meldował zaraz kapitanowi, ten starszym. Chcieli generałowie nasi księdzu poczciwemu dać za to wynagrodzenie, że mi życie uratował; ale gdyśmy przybyli napowrót do Konswegra,

już nie było nikogo w mieście, ani owego księdza. Kościół zastaliśmy otwarty i zrabowany, a komże, ornaty i kapy poniewierały się po ziemi. Serce się ścisnęło na widok takiego spustoszenia na miejscu świętem. Ale cóż, to była wojna!

Dowiedziałem się później, że to Francuzi, co po nas przyszli, tak to miasto zrabowali, a to za to, że im mieszczenie zabili generała. Jak się on nazywał, nie wiem, ale to wiem, że zawsze na białym koniu jeździł.

Z Konswegra poszliśmy znowu pod Okanią, gdzieśmy się powtórnie okrutnie bili; po kilka razy szliśmy na bagnety, ja sam aż oczy zamknąłem a żgałem. Zwyciężyliśmy — noc spędziliśmy w polu, nad ranem wynieśliśmy się cicho do Mansanares, a stąd poszliśmy w góry szukać Hiszpanów.

W górach tych wykuta była droga. Tę z obydwóch stron obsadziliśmy, nie puszczając nikogo. My strzelcy mieliśmy pierwsze placówki. Właśnie mój sąsiad kapral Wojtek rozmawiał ze mną, aż tu między obiema placówkami naszymi przemyka się na ładnym koniku szpakowatym jakiś Hiszpan w krótkich porteczkach, szarym spencerku, konopnych pończochach i skórzanych kamaszach.

„Kto tam?“ wołamy, a on umyka. Złapaliśmy go jednak. Powiadał, że szuka zgu-

bionego osielka. „Dobrze“, mówimy, choć mu nie wierzymy, i prowadzimy go do marszałka Sobestyana, gdzie się pokazało, że to był szpieg, bo gdy go rewidowano, miał na łytkach pod pończochami wypisane ile nas było, ile mamy armat i tym podobnie. Kazano go zaraz powiesić, ale się bardzo prosił. Przysiągł, że nam będzie szpiegował. Darowano mu życie. Jakoż służył nam przeszło dwa lata bardzo wiernie i bardzo dobrze. Gdy mu się wreszcie to rzemiosło sprzykrzyło, prosił o wolność, i puszczone go w Maladze.

Ten szpieg zaraz na wstępie nam powiedział, że ta droga bita podminowana. Zaradził temu marszałek Sobestyjan w ten sposób. Kazał hiszpańskim chłopom naspędzać wielką liczbę osłów i mułów, na które włożono tłumoki. Te osły z ludźmi w szeregach jakby wojsko jakie mając na przodzie doboszów, którzy ogromnie bębnil, maszerowały po onéj drodze. Aż tu naraz ogromny huk — patrzymy, a tu chłopcy i osły latają jak ptaki po powietrzu. Hiszpanie bowiem miny zapalili, myśląc że to my idziemy. Nasi dobosze zaś minawszy zasadzkę, dostali się w ręce Hiszpanów i tylko jeden z nich później do nas wrócił. —

Gdy tak minęło niebezpieczeństwo, opuści-

liśmy góry i bez żadnego przypadku ciągnęliśmy ku Granadzie.¹⁾

Pod samą Granadą przetrzepaliśmy znowu porządnie Hiszpanów i weszliśmy do miasta.

Stąd udaliśmy się do Tawerny,²⁾ gdzieśmy ośm miesięcy stali, a na wszystkie strony wybieżki robili. W nocy wychodziliśmy za miasto, a w dzień wracaliśmy do koszar.

Poprzednio nimeśmy z Granady przyszli do Tawerny, staliśmy przez cztery miesiące w mieście Santofe.³⁾

Pod tém miastem, żeby się zaopatrzyć w mięso, zajęto raz na patrolu w górach czterysta ładnych owiec i tyleż kóz. Tę trzodę musieli chłopci paść po górach, a my z bronią nabitą chodzili za nimi. Na noc przypędzano stado do miasta, na podwórze ogrodzone. Dnia jednego pod wieczór, gdym właśnie zamykał bramę, słyszę że ktoś puka. Patrę, a tu stoi Hiszpan niewidomy jak pień, a w najlepszych latach; pacholę prowadzi go.

„Co tu chcecie?“ pytam go.

A on odpowiada żałośnie:

1) Granada miasto w południowej Hiszpaniji, o kilka mil od morza Śródziemnego.

2) Tabernas w prowincyi Granadzie.

3) Santafé na zachód od miasta Granady w téjże samej prowincyi. —

„Ach pozwól trochę, bo to moje owce i kozy, któreście zabrali — to cały mój majątek. Pozwól, niech przynajmniej uściskam jedno z moich jagniątek.“

Żal mi się zrobiło biedaka; schwyciłem więc jedno jagnię i podałem mu. On ścisnął i całował ze łzami owo zwierzątko, a potem westchnął ciężko mówiąc! „Już tyś teraz nie moje — idź z Bogiem (bajste kon Dios¹⁾).“ Te słowa skruszyły mnie do szczytu. Chłopek, który go prowadził, już rzekł: „Sennor Alonzo, cóż nam płacz pomoże; chodźmy lepiej do domu.“ Ale ja rozczulony mówię do niego:

„Panie Alonzo, kto wie czy się nie da jako naprawić wasza strata? Ja wam dopomóc nie mogę, ale tę wam daję radę: idźcie do Granady, gdzie jest nasz generał Sobestyjan; proście go, może wam każe wypuścić albo wszystkę trzodę, albo przynajmniej część. Wszak spróbować nie zawadzi.“ — Poszedł za moją radą, a marszałek kazał mu wypuścić po dwieście maciorek z obudwóch rodzajów, cośmy też chętnie uczynili.

Radość niewidomego Hiszpana była niesłychana. Pytał, gdzie jestem, a gdy mnie znalazł i na zapytanie jego powiedziałem mu

¹⁾ Bajste con Dios.

jak się nazywam i jak mi imię, zawołał zradością:

„Andres amigo, buono hombre,“ — to znaczy po polsku: „Jędrzeju, przyjacielu, dobry człowieku! Pójdź do mnie, mówił dalej niech cię uściskam!“ Jak mnie złapał za szyję, to o mało mnie nie udusił.

Potem zaprosił mnie do swego domu, gdzie poznał jego matkę i dwie siostry. Nie było mi na świecie lepiej nigdy jak w onczas. Alonzo gdy mnie tylko posłyszał, zawsze wołał serdecznie: „Andres amigo!“

Przez cały czas w tém mieście nie znałem co bieda. Zawsze mnie prosili do siebie — wszystkiego mi dawali czego tylko zapragnęła dusza moja. Obie siostry zawsze mnie obszyły i oprąły. Taką miałem wonczas bieliznę kiejby panicz. O nic się nie troszczyłem, bo wszystkiego dostałem od poczciwego Alonza bez mówienia.

Owe siostry były to urodziwe i pobożne panienki, osobliwie młodsza, co się zwała Maria Dolores. Ta bardzo mnie lubiła, a ja też krzywo nie patrzył na nią.

Cała familija chciała mnie zatrzymać, i ofiarowali mi Marią Dolores za żonę. Przyznam się, że będąc młody i rozkochany, przytém i majątnego widząc obywatela w owym Alonzo, widziałem na ziemi raj otwarty przed sobą.

Bo Alonzo miał oprócz trzód jeszcze kamienice wielkie i majątek. Ale cóż — żołnierz nie do siebie należy. Porzucić rodaków i chorągiew, to wstyd i hańba. A przytem myślałem jeszcze sobie: Hiszpanie to naród zdradliwy; niechbym ja się jeno kiedy rozgniewał na kogo, toby mnie gotowi zabić jako cudzoziemca. Na własne bowiem oczy widziałem, jak Hiszpan jeden trafiwszy drugiego w polu, zapytał go: „Sennor masz ty dobre serce!“ — a ten mu odpowiada: „mam.“ — „A masz ty wielki nóż?“ — „Nie mam,“ odpowiada tenże. Potém daje mu kozę z winem i prosi pięknie: „Napij się trochę,“ — a gdy ten kozę do ust przyłożył, ten go uderzył nożem w pierś tak, że na miejscu został. Ten przypadek tkwił mi w myśli. Choć mi się więc serce wydzierało do ładnej Maryji Dolores, i choć chodziłem prawie jako błędny z miłości i żalu, że takie szczęście porzucam, — oddalałem te myśli od siebie, a ich zbywałem i tak i owak. Nie długo téż potém dostaliśmy rozkaz do wymarszu. Był to wieczór, ja właśnie stoję już gotowy pod bronią, a tu przybiega moja Dolores i mówi mi z płaczem:

„Ach, zostań, zostań! Cóż ja tu pocznę nieboga?“

Tém mi serce zakrwawiła, bo i ja o niej ciągle myślałem.

„Widzisz sama, odrzekłem, że broni rzucać nie mogę! Może później wrócę, ale teraz...” Nie mogłem skończyć, bo mi głos w gardle stręwiał.

Ona milczała chwileczkę, poczem znów odezwała się: „Mój kochany, nie chcę być przyczyną twego nieszczęścia, więc idź z Bogiem! Weź jednak przynajmniej te pieniądze na drogę sobie, a nie zapominaj o nas.”

Stokrotnie ucałowałem jej ręce, dziękując za wszystkie dobrodziejstwa jak najserdeczniej. Prosiłem, aby uściskała odemnie Alonza, matkę i siostrę.

W tém zakomenderowano do szeregu. Dolores spojrzała na mnie, mnie się łza zakręciła w oku, a i w jej oku widziałem łzy. Ze spuszczoną głową odeszła. Ja też z ciężkiem sercem ruszyłem z miejsca.

Później byliśmy znowu w Santofe, i ledwie kurz z nogi otrzepałem, pobiegłem do domu Alonza. Ale już tam żywej duszy nie zastałem, bo wszyscy byli uciekli przed Francuzami, którzy po nas zajęli byli to miasto.

W Santofe tom jeszcze widział ciekawego, że tam był dawniej jakiś król murzyński ¹⁾ zabity. Nad bramą była jego głowa i ręce na krzyż złożone z kamienia. Ciało zaś jego miało

¹⁾ Maurów.

być pochowane w Granadzie na placu Defin, gdzie był pomnik jego, a w nim co wieczór paliły się dwie latarnie.

Z Santofe wróciliśmy do Tawerny. Tu kazano mi wziąć kilku żołnierzy i szukać drzewa na opał. Pod miastem był lasek oliwny; pobiegliśmy więc czemp prędzej do niego i zaczęliśmy rąbać drzewo oliwne. W tém przychodzi jakiś mieszczanin i mówi: „Moji żołnierze, nie róbcie mi krzywdy! Ten lasek jest mój; szkoda marnować tak piękne i pożyteczne drzewiątko!”

„Wybacz pan, odpowiadam mu, ale taki dostałem rozkaz, boć przecie na słońcu gotować nie możemy!”

„Ja wam dam innego drzewa na opał,” odrzekł ów obywatel.

„Dobrze, mówię, ale zaraz dawaj.” Don Sebastyan, bo tak się zwał ów mieszczanin, zaprowadził nas do miasta, do składu drzewa, kazał przynieść wagę i odważył nam pięknego drzewa ileśmy żądali.

To mnie bardzo zastanowiło, że ci ludzie tak wazą drzewo, jak u nas kupcy cukier i kawę. Później zmiarkowałem, że w Hiszpaniji trudno o drzewo opałowe. Francuzi w potrzebie i deski nawet od trumien odrywali i zabierali. Nieraz posądzano ich o rabunek, a oni to z potrzeby, nie ze swawoli czynili.

Don Sebastyan został naszym magazynierem i dostarczał nam zawsze drzewa. Będąc często przy wadze drzewa, przymknęłam czasem oko choć nie dowazyło. To ujęło owego Hiszpana tak, że mnie wziął na bok i rzekł do mnie:

„Przy lasku oliwnym poznałem zaraz, żeś dobry i ludzki człowiek, a teraz przekonuję cię o tém ciągle; dla tego proszę cię bardzo, żebyś dom mój uważał za własny. Ilekroć będziesz chciał, możesz zawsze przyjść do mnie, a ja ci niczego żałować nie będę.“

Tak tedy według możności chodziłem często na posilek do Sebastyana, i przyznać się muszę, że mi dobrze było u niego.

Razu jednego, przybywszy na wieczerzę do niego, usiadłem sobie w małym pokojiku, a w tém przychodzi Sebastyan i powiada mi, że dziś wyprawia chrzciny, bo żona mu synka powiła. Powinszowałem mu tego szczęścia, i usiadłem znów osobno, bom się bał Hiszpanów.

Tymczasem goście schodzić się zaczęli do dużej izby, gdzie szykowano wielką ucztę. I mnie poproszono na nią, a Don Sebastyan powiedział gościom o mnie, że mój żołnierz polski, katolik, a poczciwy człowiek z gruntu; dodał zarazem, ile ja mu to łaski wyświadczyłem, że dziś byłby bez lasku oliwnego, tylko

ja mu go uratowałem. Hiszpanie więc mile mnie przyjęli do swój kompaniji, gdy to wszystko usłyszeli.

Miedzy gośćmi było tam dużo księży, a najlepiej pamiętam jednego grubego. Było tam także kilku milicyjantów, którzy mieli na sobie kurtki i spodnie nankinowe, a kapelusze na trzy rogi.

Wchodząc, skłoniłem się wszystkim grzecznie i po polsku przywitałem ich, mówiąc: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.“ A że słowa Jezus Chrystus prawie tak samo po hiszpańsku, jak i po polsku, więc mnie zrozumieli i pokłonili się nawzajem. Mówiłem zaś dla tego po polsku, choć mogłem ich przywitać po hiszpańsku, żeby im dać poznać, żem Polak, a nie Francuz, bo Francuzów bardzo nie lubili Hiszpanie.

Miałem miłą zabawę na tych chrzcinach. Jedliśmy dobrze, a piliśmy jeszcze lepiej. Oni pili po trosze, a ja po polsku, zawsze szklanę duszkiem, tak, że się dziwowali: „Karachu, multo forta Kawesa,¹⁾ to jest: . . . Bardzo mocna głowa!“ Dziwiło mnie tylko, że wszyscy jedno palili cygaro, które sobie podawali, a każdy po kilka razy pociągnął i dawał drugiemu, gdy się tak jedno skończyło, zapalili drugie.

1) Carajo, multo forta cabeza!

Wszyscy sobie też dobrze podchmielili, a mnie tak się już w oczach dwojiło, że u lampy, co stała na stole dwa knoty widziałem.

Księża przysiedli się do mnie. Jeden z nich rzekł:

„Wiemy, żeś Polak i katolik, ale powiedz mi, jakie jest wasze nabożeństwo?“

Ja tedy zacząłem im opowiadać o naszym polskim kościele, a oni często przerywali mi mówiąc: „To tak jak u nas.“ Potém kazali mi mówić pacierz, a ja widząc, że księża nie żartują, zacząłem po polsku: „*W Imię Ojca i Syna i Ducha Ś. i mówiłem Ojcie nasz, Zdrowaś, Wierzę w Boga, aż skończyłem na Żywot wieczny. Amen.* Oni też po hiszpańsku to samo mi powiedzieli.

Gdym ja mówił, to słuchali z największą uwagą, lubo Panu Bogu wiadomo, czy tam co zrozumieli. Dosyć, że im się podobało.

Po tych pacierzach zostawili mnie znowu, a poszli do kompaniji innėj.

Ja siedziałem rozmarzony, myśląc jedynie, jak ja się do koszar dostanę.

Kiedy tak myślę, Hiszpanie naraz zaczynają narzekać. Ciekawość mnie zdjęła, pytam się więc:

„Cóż się to stało, że wy tak lamentujecie?“

Jeden z nich odpowiada:

„Oto widzisz, nie wiemy jaki będzie los tego dziecięcia nowonarodzonego i szukamy pod jaką planetą się urodziło.“

— „A to głupstwo i grzech, moi panowie!“

„Jakto głupstwo?“ krzyknęli wszyscy.

— „A już ci głupstwo, bo u nas, kiedy się dziecko narodzi, to się cieszą rodzice, komotry, krewni i przyjaciele, a wy tu płaczecie?“

„A to wy głupi jesteście, bo jakże się można cieszyć, kiedy nie wiada, co z tego dziecka będzie i co mu złego zagraża?“

— „Ej, to trzeba Panu Bogu zostawić, rzekłem rozgniewany, a przyjąć wesoło, co dał. Już jeżeli płakać, to chyba za tymi co pomarli.“ —

„Co ty gadasz człowiecze? krzyknął jeden, aż mu się oczy zaiskrzyły. Umarły skończył swoje cierpienia, a zatem nie potrzeba go płakać. Przynajmniej taka jest nasza wiara.“

— „To wasza wiara jest kiepska,“ rzekłem rozjątrzony, zrywając się ze stołka. Oni też powstali wrzeszcząc z całego gardła:

„Nie wasza, lecz nasza wiara jest lepsza.“

— „Ja was przekonam, że to nieprawda. U nas w Polsce robimy, co Kościół święty nakazuje, a wy nie zawsze słuchacie Kościoła. Kiedy w Polsce post lub święto, pobożny katolik pości przykładnie i szanuje każdy uroczystość, a wy przeciwnie robicie. Odkąd jestem

w Hiszpaniji, widziałem nieraz, że w wielkie nawet święta, jeszcze się nabożeństwo nie skończyło, a wy dla zarobku różne roboty odbywacie; a co do postu to wstyd powiedzieć, że nawet w Piątek mięsisko jadacie. Tak więc lepsza jest nasza wiara!“

„Nie, nasza jest lepsza!“ wrzasnęły Hiszpany.

— „Nie prawda!“ krzyknęłam zajadle.

„A to poganin!“ zawołał jeden zapalczywie.

— „Tyś sam poganin!“ odrzekłam zgrzytając zębami. Tu jeden dobywa sztyletu i do mnie.

Ja choć nogi podemną drżały, odskoczyłam na bok, a wtém pocziwy Don Sebastyan porwał mnie za kołnierz widząc moje niebezpieczeństwo i wypchnął za drzwi. Nie wiem jak zszedłam po schodach, ale to wiem, że prawie wytrzeźwiony wróciłam do koszar, i dałam sobie słowo, że póki życia mego, z Hiszpanami o wiarę klócić się nie będę. Jednego razu przyszlismy do miasta Lubrin¹⁾, co znaczy ogień, i dobrze nazwane, bo nam tam bardzo było gorąco.

Z trzech stron otaczają to miasto góry, a z czwartej woda. Jeden dzień minął spokoj-

1) Lubrin w prowincyi Granadzie.

nie — na drugą noc nasi u mieszczan rozłożyli się na kwatery, a ci co mieli służbę zostali na mostach. Komendant, rodem Francuz z szesnastego pułku dragonów, mieszkał u księdza. My wszyscy nie mogliśmy cierpieć tego oficera, bo nas krzywdził. Brał pieniądze na mięso i wino, a nam kazał tylko dawać sztokfiszu. Zresztą był dobry do komendy; mimo to jednak byliśmy gotowi łeb mu skrócić przy pierwszej okazji. Ja mając pięciu żołnierzy, stałem na górze, blisko miejskiej bramy, dalej niejaki Bronowski z Sempolna także z pięcioma, a jeszcze po górach inne były placówki rozłożone.

Przy rozpalonych ogniach dokoła żołnierze siedzieli i gwarzyli. Ja stojąc ze sztucерem na czatach, jakieś złe miałem przecucie i ciężko mi było na sercu. Noc była ciemna i późna — zdaloby się, że wszystko śpi na świecie, a tu czasami słychać było jakiś głuchy szczeł i stuk. Oj, myślę sobie, coś się tu święci! To nie bez kozery — Hiszpanie pewno gotują zasadzkę!

Idę więc do placówki Bronowskiego i tam przyszedłszy, widzę, że jeden z moich nazwiskiem Modrzeński, szewczyk z Poznania, opuścił posterunek i poszedł do drugich na pogawędkę. Zgromiłem żołnierza i kazałem mu wrócić na swoje miejsce, a wiedząc, że Bronowski lubił łyknąć czasami, mówię do niego: „Na Boga,

żebyś mi dziś nie nie pił, bo tu ciarachy ¹⁾ chcą nam pewnie kurtę skrojąć.“

Bronowski dał mi słowo, że pić nie będzie. Ostró upomniał swoich żołnierzy, aby się mieli na baczności, a ja wróciłem do swoich.

Zegar w mieście uderzył właśnie dwunastą. Słyszę, że coś sapi i stęka pod górą. — Zbiegam na dół i spotykam chłopą z osielkiem, opakowanym w wory skórzane. — „A dokąd tak późno?“ pytam: „Wiozę wino do magazynu, i chętnie poczęstuję. Weź, pij — dobre winko.“

„Chodź jeno wprzód ze mną na placówkę naszą, tam się rozmówimy z sobą.“ — Przybywszy, każe mu otwierać owe wory. Prawda, to kozy ślicznego winka, które już z dala pachniało, zwłaszcza nam w nocy na warcie stojącym.

„Pij sam pierwszy, mówię do chłopą, to i my się napijemy, bo żołnierz dobry niczem nie gardzi; kiedy bić to bić, a jak pić to pić.“ — „To nie zatrute wino, — pijcie panowie,“ prosi chłop. — Pij wprzód ty, to zobaczymy, czy nie zatrute.“ — On łyknął dobrze. Ja

¹⁾ Ciarachami nazywali Polacy będący w Hiszpaniji chłopów hiszpańskich dla tego, że się szaro ubierali, i nie nosząc butów tylko sandały, pocichu chodzili.

przeto pociągnąłem także nieźle i kolegom kazałem się napić, ale miarą.

Bronowski też łyknał porządnie, bo, prawdę mówiąc, wino było paradne. Aby jednak oddalić pokusę, kazałem chłopu ruszać sobie do miasta, co też on, ale jakoś leniwo uczynił. On zdrajca rachował na to, że czaty zabiorą mu wino, i że się popiją. Ale dzięki Bogu, bez potrzeby koniecznej, jaka się czasem zdarzy we wojnie, nigdy nie dozwoliłem mojim żołnierzom podwładnym nikogo krzywdzić. Nic też więc z jego zdrady nie było.

Po odejściu chłopu, wróciwszy na stanowisko słuchałem pilnie uchem nateżonem nieprzyjaciela. Znowu słyszę jakiś szmer i szcęk. Schodzę na sam spód góry, wytrzeszczam oczy dokoła, i odsuwając ogromne liście figowych drzew, co je morskimi zowią, spostrzegam w ciemności chmurę ciarachów, jakby jakie pole makówek. Bez namysłu palnąłem ze sztucera i dalej cofam się. Oni też zaczęli za mną strzelać, ale kule świstały nad głową moją, a jam zdrowo uszedł na górę.

Nasi już stali w pogotowiu, dali ognia w powietrze na przestрах. Nikt nas atoli nie atakował. Wkrótce usłyszeliśmy zgiełk w mieście. Hiszpanie z przeciwniej strony tam wpadli i najpierw zajęli dom proboszcza. Komendant, który u niego miał kwaterę, ledwie z życiem

uciekł za pomocą ksiedza, a jego ordynansa w kawałki rozsiekali. Tymczasem nasi po kwaterach leżący zaczęli się zbierać na rynku. Słychać już było straszliwe wrzaski i głośnie strzelanie. Ja patrzę ku bramie, a tu pędzi komendant z gołą głową na otwarte pole. Gdy przybył do nas, nie mieliśmy nawet czasu zapytać o rozkazy, bo w téj saméj chwili mnóstwo Hiszpanów ujrzelśmy za sobą. Palnęli do nas, ale tak blisko, że już nie kule, co poszły górą, ale sam płomień nas uderzył. Powalony na ziemię, stoczyłem się na sam spód góry; macam się wszędzie, ale widzę, że mi się nic złego nie stało. Myślę, co teraz począć? Aż oto słyszę w pobliżu jakiś francuzkie narzekanie: „O mon Dieu, mon Dieu!“ Idę za głosem i znajduję potłuczonego komendanta w krzaku siedzącego i tak wyrzekającego. Wzięła mnie ochota pomścić się krzywd naszym, bo to on brał pieniądze na mięso dla nas, a dawał nam niemiły sztokfisz. Jużem podniósł rękę, ale mnie Bóg natchnął Duchem świętym, i pomyślałem sobie w téj saméj chwili: Człowiecze cóż ci z tego przyjdzie? Ty sam możesz lada chwila zginąć, jakże więc staniesz na strasznym sądzie Boga?

Uderzyłem się w piersi, splunąłem na pokusę, i ciężko westchnąwszy podziękowałem Panu Bogu natychmiast, że mi nie dopuścił

spełnić téj zbrodni. Zbliżyłem się do kometanta i udając, że go nie poznałem, pytam po hiszpańsku: „Kto tu?” A on mi odpowiada po francuzku, widząc na mnie mundur francuski: „Jestem Francuzem, komendantem.”

Podniosłem go więc i mówię: „Panie komendancie źle z nami?”

„Żeby się tylko do miasta dostać,” odpowiada mi.

Wziąłem go za rękę i tak obaj dążyliśmy do miasta. W bramie ledwieśmy się przedarli, taki był natłok wchodzących i wychodzących. Nasi z górnych placówek już tam byli pospieszyli, za nimi zaś ze wszystkich stron cisnęli się Hiszpanie. Wśród ciemnej nocy walka wrzała na rynku zacięta. My teraz razem na rynku zebrani broniliśmy się jak lwy. Komendant stracił głowę zupełnie. Sami więc bijąc się do upadłego komenderowaliśmy sobą cofając się ku bramie, ażeśmy szczęśliwie, odstrzeliwując się ciągle, wydostali się za miasto.

Tymczasem Hiszpanie, z których jedni byli już w mieście, inni z gór biegli i strzelali myśląc, że my na rynku, bili się sami z sobą wśród nocy aż miło, a my się serdecznie śmiali. Gdy świtać zaczęło, jużśmy byli uszli z milę na powrót ku Tawernie. Hiszpanie poznali także wnet, że się sami z sobą pobili i po-

czeli nas ścigać, ale dogнали nas wtenczas, gdyśmy już byli pewni, bo blisko swoich.

Poszliśmy także raz z Tawerny do *Lorki*¹⁾ i do *Murcyji*²⁾. W tem ostatniem mieście zastaliśmy hiszpańskie armaty dwie wałowe i ogromną moc ładunków. Dostaliśmy rozkaz, aby armaty zagwoździć i z wałów pozrzucać, cośmy też uczynili. Później kazano nam topić ładunki hiszpańskie, bośmy ich z sobą zabrać nie mogli, a lada chwila mogła przyjść moc Hiszpanów i odebrać nam to miasto, nimby armija nasza za nami była nadbiegła. Topiąc tak w wodzie owe ładunki usiadło nas trzech Polaków w cień, bo był upał nieznośny.

Gdy tak siedzimy i odpoczywamy, wychodzi jakiś ksiądz świecki do nas i pyta po hiszpańsku:

„Coście wy za jedni?“

„Polacy“ — odpowiadamy.

A on na to: „Ja też Polak: lat dwanaście jak bawię w tym kraju; prócz ptasiego mleka niczego mi nie brak, lecz mi tęskno za swojimi, i chciałbym mieć aby jednego rodaka przy sobie.“

Wtem nadbiegł oficer francuzki i zawołał: „Allons, au travail!“ to jest: „Dalej do roboty!“

¹⁾ Lorca)
²⁾ Murcyja) miasta w prowincyi Murcyji.

My więc do roboty, a ksiądz zniknął i jużem go więcej nie widział. Często jednak postać tego księdza stoi mi przed oczyma, i zda mi się, że jeszcze głos jego słodki a żałosny słyszę.

Wróciwszy znów do Tawerny odpoczęliśmy dwa tygodnie, potem poszliśmy do *Bassy*¹⁾ na pomoc Francuzom, których tam Hiszpanie w obleżeniu trzymali. Odpędziliśmy Hiszpanów na dwie mile i sami w tem mieście zostaliśmy przez cztery miesiące. Piękne to miasto, ma śliczne kąpiele, ogrody precudne i wyborne owoce różnego rodzaju, a najwięcej apryków. Jedwabiu też dużo tam robią.

Pod tą Bassą, na jednym przedmieściu stała nasza kompanija za kościołem Świętego Józefa, który był piękny, ale Francuzi trochę go zrabowali.

Jednej nocy, gdy rozstawiono strażę, dieściu z naszych ustawiwszy broń w kozły, staliśmy sobie czuwając i gwarząc.

Wtem widzimy, że dwóch ludzi skrada się do naszego obozu. Dwa razy zasadzaliśmy się na nich, i dwa razy nam uciekli. Dopiero trzeci raz, gdyśmy się zaczaili w bramie kościelnej, dostaliśmy ich. Jeden z nich był ksiądz uzbrojony w karabin, drugi zaś chłop z długim nożem. Ksiądz prosił, abyśmy go puścili — że

1) Baza w Granadzie.

nam da pieniędzy, ile zechcemy. Aleśmy na to nie przystali tym bardziej, że się zdarzało, iż gdy żołnierz wziął pieniądze od Hiszpana, ten go potem u naszych starszych zaskarżył, i żołnierz ciężko za to bywał karany. Oddaliśmy więc obu do jenerała Sobestyjana, który ich kazał sądzić: Przyznali się, że chcieli zabić, aby jednego Francuza. Sąd wojenny skazał ich na szubienicę. Odprowadzeni do Kwadyksu¹⁾, niedługo czekali spełnienia wyroku. Na rynku ustawiono nas w trzy szpalery, za nami zaś tyśiące ludu się zebrało.

U kraty jednego domu, przed naszym frontem, powieszono księdza i chłopca, pierwszego z karabinem w rękę, drugiego trzymającego nóż. Ksiądz się urwał i spadł na bruk, ale go znowu wciągnięto, i gdy go powtórnie wieszać chcieli, prosił o pozwolenie mówienia. Pozwolono mu przemówić; a on rzekł do zgromadzonego ludu: „Bracia kochani, gińcie wszyscy za naszą świętą wiarę, a nie dajcie się tym poganom!”

Po tych słowach zarzucono mu powróż, i skończył biedak na szubienicy. Mnie się jednak tak żal zrobiło tego księdza, że sobie zapłakałem. Boć źle zrobili, że księdza powiesili. Był to sługa Boży — Pana Jezusa piastował

¹⁾ Guadix w Granadzie.

tyle razy na rękę swoim. A że się bronił, to niedziw, bo któżby nie bronił wiary świętej i ojczyzny! Lud téż za tego księdza ogromnie się oburzył na nas, i mścił się gdzie mógł, a nas widocznie i sam Bóg za to ukarał, bośmy się wszyscy później dostali do niewoli.

Posunęliśmy się później ku *Maladze* ¹⁾. W marszu blisko wsi Gogolis to mnie zastanowiło, że po obu stronach bitej drogi były domy podziemne, a do nich były tylko jedne drzwi u góry szklane, niby okna jakie, któremi po schodach schodziło się na dół do domu. Wszystko pięknie urządzone, a cukrów rozlicznych ogromna moc, bo to tam sami cukiernicy mieszkali. Dość było patrzeć, a już w głębie słodniało. Nad temi zaś sklepami były stodoły, do których w czasie żniw na mułach i osłach zboże z pola zwozili i na bojownicę składali; dotąd nagnano kupę mułów i osłów, a te zwierzątka musiały dobrze tańcować i drepnąć. Takie drepnięcie jest u nich młóceniem.

Oj cepów, cepów, ale nie powiem na kogo!

Pod Malagą zebrało się około pięćdziesiąt tysięcy Francuzów i Polaków. Tu dopiero nastąpiły szturm i bitwy.

1) Malaga nad morzem Śródziemnem w prowincyi Granadzie.

Hiszpanie oddawna się już tu na nas byli szykowali. Wszystko chwytano za broń, nawet księża, kobiety, a nawet małych chłopców wdziałem z flintami. Trzy razy nas odparli, dopiero za czwartem uderzeniem zdobyliśmy miasto. Na ulicach jeszcze rzucano z okien na nas kawały żelaza i różne rzeczy, — war nawet na głowy nam lały kobiety. Taki naród, pomysłalem sobie, co się tak broni i kupy trzyma, pewno nas jednak zwycięży. I zgadłem.

Blisko miasta jest góra, którą Hiszpanie ogromnemi obsadzili armatami. Te najwięcej nam szkodziły, lecz gdy je przecie nasi ułani zabrali, łatwiej nam szturm poszedł.

W Maladze zostawiono oddział Francuzów i Polaków pod komendą księcia Sułkowskiego, a nas strzelców odkomenderowano trzy mile dalej.

Przez dwie niedziele chodziliśmy po górach i biliśmy Hiszpanów rozpierzchłych; ale to na psa taka wojna, gdzie to żołnierz regularny musi się bić z całym ludem, bo tu ich wypędzisz, a oni już znowu są. Żołnierz się zmarnuje, ale tylko tyle ma podbitego kraju, ile go wojsko pod nogami swojemi ma, a jak odejdzie, już nie jego.

Potem przeszliśmy znowu z téj strony Malagi i stanęliśmy w *Antekera*¹⁾. Stąd udaliśmy

¹⁾ Antequera w Andaluzji.

się na pomoc Francuzom ku *Rondo*¹⁾, gdzie ich Anglicy byli oblegli.

Na nieszczęście w drodze trafiliśmy na Hiszpanów moc, którzy naszą kompaniją bez strzału puścili, a potem z przodu i z tyłu nas obskoczyli. Tu nastąpiła okropna potyczka. Jasielski, szef naszego batalijonu, dwa razy ranny, zachęcał do obrony, ale nareszcie sam zginął. Tak samo i adjutant pocziwy Imbierowicz poległ — Panie świeć nad ich duszą! Z nas tylko trzystu zostało. Zamiast tedy iść do *Rondo*, musieliśmy się cofnąć. Przez trzy dni i trzy nocy błakaliśmy się po górach, najwięcej ciągnąc nocą kryjomo, aż przecie po tysiącnych trudach i niebezpieczeństwach wybrnęliśmy do swoich do Antekery.

Zpod Antekery poszliśmy do Granady. Tu kompletowano batalijony. Nasza téż kompanija dostała dość rekrutów od cesarza. Potem robiliśmy Józefowi Napoleonowi wielką paradę, tak że nawet Hiszpanie wołali: *Vive Josef Primero!* Ale cóż to pomogło, kiedy w duszy myśleli tylko, jakby nas wszystkich razem z Józefem, albo przynajmniej którego z nas zamordować. Podstąpili nawet ze swoją konnicą pod samo miasto. Józef sam wykomenderował nas wołyżerów i sześćdziesiąt koni dragonów, i odegnaliśmy

¹⁾ Ronda w Granadzie.

ich, aie już i noc była nadeszła. Odpoczęliśmy trochę na górze, a żeśmy byli głodni, więc kapitan nasz Bote, który wstąpił na miejsce Jasielskiego, i feldwebel Plantowski, rodem z Kowala podobno w Kujawach, kołodzieja syn, kazali mi iść z kilkoma żołnierzami szukać żywności w pobliskiej wsi. Znaleźliśmy trochę wina, chleba i mięsa, i przynieśliśmy do obozu.

Nazajutrz, ledwo świtać poczęło, ruszyliśmy do miasteczka Pawło ¹⁾, bośmy dostali rozkaz, żebyśmy koniecznie do Motryła nad morzem patrol zrobili. W Pawło zastaliśmy mnóstwo Hiszpanów, konnicy i piechoty, którzy, ledwo co nas ujrzeli, z takim popłochem uciekali, że się na prawdę za nimi kurzyło. Na rynku zostawili masę wina, chleba i wszelkiego jedzenia, które pewnie dla nich przygotowano, żeby ich uraczyć. Przydało nam się to bardzo. Pokrzepiwszy się więc nieźle, podziękowaliśmy Hiszpanom pięknie, że nam taką ucztę sprawili, i dalej za uciekającymi. Półtorej mili za miastem Pawło nad rzeką oparli nam się tego. Długośmy się tu nad tą wodą z nimi uganiali, zwłaszcza, że mostu nie było, tylko musieliśmy iść w bród pod pas zezuwszy buty i spodnie, gdy tymczasem nasi nad głowami naszymi prążyli Hiszpanów. Przez trzy godziny trzepaliśmy

¹⁾ Padul w Granadzie.

się dobrze, poczem oni znów w nogi, a my za nimi aż do miasta Aharun w górach, skąd już tylko trzy mile było do Motryla.

W Aharun obstawwszy warty naokoło po krzakach, których tam było bardzo dużo, poszliśmy o samym zmierzchu szukać żywności. Niestety chciało, że prawie zawsze mnie wykomenderowano z kilkoma żołnierzami szukać żywności. Nieraz prosiłem kapitana, u którego, co prawda, miałem łaskę, żem strudzony — ale on zawsze odpowiadał mi z uśmiechem: Ty mówisz dobrze po hiszpańsku i dosyć szczęśliwyś z temi ciarachami, idź więc, i dla siebie też tam co dobrego znajdziesz! Jakżeż było nie iść? Idę, wchodzę do miasta, wszędzie ciemno jak w miechu i pusto i cicho, że żywéj duszy nie było słyhać. Szukamy po domach i nie znaleźć nie możemy. Nareszcie w jednym domu spotykamy jakiegoś siwego staruszka siedzącego na ksześle wielkiem.

„Buona tardi Senior“¹⁾, co znaczy: dobry wieczór Panie, — mówię do niego grzecznie. Odpowiada mi i on bardzo ładnie.

„Nie ma tu co do zjedzenia? bośmy głodni. Rabować nie chcemy, tylko tyle wziąć, ile nam koniecznie na posilenie się potrzeba.“ —

„Nie ma nic mój Panie,“ odrzekł starzec.

¹⁾ Buonas tardos Senor.

Ja go proszę jeszcze raz, a on znowu odpowiada, że nic nie ma. — „Wszyscy w góry uciekli i co mieli z sobą zabrali“ dodał dalej.

— „Mentera carachu — łziesz, dawaj albo się po wojskowemu z tobą rozmówię. Jak nie dasz, to cię wezmę z sobą do obozu, a tam gałęzi dla ciebie dosyć, bo ostrza naszego na twoich starych gnatach tępić nie będziemy!“ Dopiero w strach ów starzec, i pokazuje nam dom pełen maki, gdzieśmy i różne naczynia piekarskie znaleźli. Wzięliśmy się zaraz do pieczenia chleba, i nim dzień zaświtał, upiekliśmy dla każdego żołnierza spory bochenek.

Tenże staruszek zaprowadził nas także do jednego ogrodu, gdzie pełno było kóz. Każdy z nas brał po jednej, rznął i piekł jak umiał. Tak nasyciliśmy wszystkich, a o świcie wyruszyliśmy ku Motrylowi.

Wkrótce spotkaliśmy Hiszpanów, którzy most murowany na jednej rzece obsadzili i nie chcieli nas puścić, aleśmy ich przeparli. Trochę dalej jeszcze nam raz zabiegli, ale i tą razą odparliśmy ich. Odtąd bez przeszkody dążyliśmy prosto do *Motryla*¹⁾, dokąd i drugi

¹⁾ Motril nad morzem Środiemnem w południowej części Granady.

oddział Francuzów w tymże samym czasie miał przybyć od Almeryji i z nami się połączyć.

Tymczasem wszedłszy z radością do miasta w nadziei, że tam już Francuzów zastaniemy, grubośmy się zawiedli. O Francuzach ani słychu — a tu ze wszystkich stron zaczynają się wychylać Hiszpanie, a gdzie jeno nasi stąpną, zaraz do nich walą jak do dzików. Tak tedy obstępiani szukaliśmy schronienia po kątach miasta, tłukąc się po ulicach między domami. Przed wieczorem komendant nasz wysłał na wysokie wieże kościołów i każe patrzeć, czy nie idzie sukurs od Almeryji. Sam patrzył przez długą perspektywę, ale to wszystko nie pomogło, bo nikogo nie było widać. Noc nadeszła. Ognie Hiszpanów było widać z trzech stron, a czwarta tylko od morza była wolna. Okropnem było nasze położenie! Komendant skłopotany zwołał nas wszystkich i rzekł:

„Dzieci, źle będzie z nami. Tłumy nieprzyjaciół nas obległy, a nasi nie przyszli. Do rana czekać niepodobna. Po cichu więc trzeba się wynieść z tego przekłętego miejsca.“

Co komendant mówił, to każdy z nas już pierwój był myślał. Gorzko nam było, że nas niepotrzebnie wpędzili do takiej matni, ale cóż? musieliśmy słuchać, bo żołnierz słucha, nie rezonuje. Na rozkaz komendanta ruszyliśmy po cichu nad morze, żeby się jako wymknąć: ani

dychać prawie nie wolno nam było. Ale cóż? w morze niepodobna wniknąć. Wracamy więc — idziemy drugi raz, bo noc była ciemna, widzieliśmy ognie i placówki hiszpańskie, ale morze bałwani się na dobre. Wtem zaczyna się strasznie błyskać. Idziemy jeszcze raz nad morze, — a tu morze ustąpiło na kilka staj i deszcz gęsty zaczął padać. Po piasku więc morskim, widząc tuż niedaleko siebie przy ogniu nawet twarze nieprzyjacielskie, wymknęliśmy się po cichu i forsownym marszem uciekaliśmy co żywo. Jużemy się byli dostali na jedną górę może z milczką od Motryla, gdy zaczęło świtać.

Tymczasem Hiszpanie zmiarkowali naszą ucieczkę, i począł się między nimi gwar wielki, który daleko było słyszeć. Jakoż niedługo puścili się w trop za nami i przyszli do onéj góry. Strach mnie jeszcze dziś bierze, gdy sobie przypómnę owę moc wojska i owe chmary nieprzeliczone ciarachów, które nas zewsząd obległy. Było to *dwudziestego Sierpnia*¹⁾. My stali na górze mając morze za plecami. Jenerał hiszpański Kondo czy Konko, zaczął do nas szturmować. Jego pułk miał helmy u góry okrągłe z białym ogonem przez środek. Po kilka razy wdzierali się na górę, ale my ich zawsze zepchnęli. Mieliśmy dwie

1) 1811 roku.

armatki, któreśmy wozili na mułach — z tych armat tegośmy grzmocili. Od rana do południa ogień rześisty jak grad się sypał: broniliśmy się do upadłego. Ale cóż, kiedy po południu zabrakło nam amunicyi. Byli tacy, co już ani jednego naboju nie mieli przy sobie, inni jak i ja mieliśmy po jednym. — Aleć Hiszpanie zrejterowali, bośmy im nakładli trupa co niemiara, bo i kamienie i drzewa i co się dało zrzucaliśmy z góry naszej na nich, a ich kule tak armatnie jak i karabinowe szły górą nad nami, i tylko kilku dzielnych żołnierzy nam zabili.

Gdy się Hiszpanie cofnęli, odetchnęliśmy trochę. Wtem nasz kapitan Bote i porucznik Antosiewicz zawołali mnie do siebie i rzekli: „Pod górą stoją dwa osły — idź i przyprowadź je tutaj, bo rannych zabierzemy i pójdziemy dalej.“

Ruszyłem tedy na dół z drugim żołnierzem, co się zwał — Kurczewski, a był rodem z Łowicza. Przyszliśmy do ładnego domu, gdzie była długa altana winogronami okryta, a przed tą altaną stały owe dwa osielki. Ledwieśmy weszli do owéj cienistéj altanki, aż oto wychodzi gospodarz i pyta:

„Czego chcecie ludkowie?“

„Przyśliśmy po te dwa osły, co tu stoją“ — odpowiedziałem.

„To są liche osły moich ludzi, ale chodźcie do izby, a ja wam pokażę moje lepsze osły i dam je wam.“

Idziemy tedy do izby.

Ale gospodarz pyta się wpierw łagodnie: „Nie zjedlibyście czego albo nie wypilibyście wina? Ja mam różne wina: czerwone, białe, młode, stare, jakich chcecie, dam wam.“ Nam dwa razy nie trzeba było mówić, bośmy od wczoraj wieczór nic nie mieli w ustach.

Kazał nam dać winka wybornego, które mi jeszcze dziś smakuje — i usmarzyć jajeczni-
cy. Jeść nie było czasu, ale jednak trochę się zjadło, i to tak, że gdy jeden jadł, drugi przy drzwiach wartował. To się gospodarzowi nie podobało; prosi więc żebyśmy byli spokojni, po co warta? — ale widocznie nas zatrzymywał, bo znów kazał dziewczynie przynieść séra koziego i innego wina. Ja pytam o osły, a on mnie zbywa, że zaraz przyjdą.

Tymczasem na górze zaczynają się znowu bić. — Byliśmy jak w gorączce. Aż tu sły-
chać i od morza strzelanie. Pytam gospodarza, co to znaczy? A on mi odpowiada, że to chłopcy strzelają sobie króliki i zające. Ja je-
dnak mignąłem na Kurczewskiego, aby się miał do odwrotu. Dziewczyna wraca z winem i sé-
rem. W téj saméj chwili wpada do izby dwóch
naszych żołnierzy i wołają: „Na Boga, kapi-

tan nas posyła, żebyście zaraz wracali! Ja tedy biorę wino, a krąg ogromny sera rozkrawam na czworo, i każdy z nas pakuje część do sakwy. Potém zabrawszy oba osielki, co stały pod altaną wynosimy się czempredźej. —

Na podwórku było mnóstwo drobiu, a szczególnie śliczne kaczki i indyki. Moji koledzy dalej za nimi — jak zaczął gonić i machać pałaszem — a gospodarz patrzy z boku.

Ja mówię: „Moji bratku, głupstwo robicie. Tu śmierć przed nami, a wy się bawicie jak dzieci! Co tobie po kaczce lub indyku? Gdzież je będziesz piekł lub jadł, kiedy sam nie wiesz czy doczekasz wieczora? Dajcie pokój drobiowi! Żołnierz ma pałasz na nieprzyjaciela, nie na kaczki lub indyki!“

Wiarusy poskrobały się trochę, żal im było, ale usłuchali méj rady.

Gospodarz poznał widać to moje zgromienie kolegów. Jużemy wychodzili z podwórka, a tu mię ktoś klepie po ramieniu. Oglądam się i widzę gospodarza. Ten ścisnąwszy mnie za rękę, szepnął mi do ucha:

„Zostań w moim domu!“

— „A to czemu?“

„Jeżeli ci życie miłe, zostań w moim domu!“

— „Ale czemu mam zostać?“

„Patrz, od morza ciągnie dziewięć tysięcy

chłopów, a drugie tyle wojska regularnego od rana was oblega!“ Patrzą, patrzą i drudzy, a tu istotnie wielka chłopów moc jak szarańczy; już blisko nas — aż mrowie po nas przeszło. Porwaliśmy się jak oparzeni z miejsca i dalej do naszych!

Gospodarz woła: „Ani jeden z was nie ujdzie! wszyscy zginiecie!“ Ja poprawiłem kaszkiet na bakier i rzekłem: „Ej co tam! Nie takie się przepiekało, a przepiekło się, i to się przepiecz!“

Byłem zuch, ale pewnie to dobre winko do tego niemało się wtenczas przyczyniło. Bądź jak bądź, nie dałem się zbałamucić. Wdrapaliśmy się z osłami na górę. Wnet przybiega kapitan z porucznikiem i pytają, czy mamy co z sobą? Dajemy im wina i sera, na który jak głodne wilki się rzucili. Grzmot, dym, wrzask i same kule nieprzeszkadzały im w jedzeniu. Jedli sobie smacznie i spokojnie jakby na chrzcinach lub weselu. Bo we wojnie tak my się oswojili ze śmiercią, że nikomu na myśl nie przyszło strachać się czego, chyba jednej niewoli.

Kiedy oni jedzą, ja opowiadam, com słyszał od owego gospodarza i com widział na własne oczy. Kapitan machnął ręką mówiąc: „Ej to baśnie mospanie! Zwyczajnie Hiszpan

chce nas nastraszyć i gada o tysiącach, których nie rachował.“

Antosiewicz zaś porucznik dodał: „Nie daliśmy się dotąd, i djabełby nas stąd nie ruszył, gdybyśmy mieli ładunki — ale i tak się nie damy téj hałastrze!“

Ledwo to wymówił, aż tu przybiega sam komendant zmieszany i każe nam patrzeć ku morzu. Patrzymy — widać rybaków, jak obok swych łódek siecie rozwieszają, a dalej za nimi mnóstwo łodzi, co spieszą do lądu.

„To pewno Anglicy, mówi komendant — powiedziano mi, że to Anglicy.“

„Cóż teraz pocniemy?“ pyta kapitan. Komendant odpowiada: „Na górze zostać nie możemy, ale zejdzmy na dół, i tam uszykowani bronić się będziemy.“

„Ale czem?“ zagadnął kapitan, kiedy nie mamy amunicyj?“

„Darmo“, rzekł komendant, wzruszając ramionami.

„Toć już chyba na zgubę schodzimy z téj góry, z której nasby nie tak prędko zepchnęli Hiszpanie,“ szepnąłem ja porucznikowi Antosiewiczowi, — „boć przecie na górze przędź się jeszcze jakiś czas utrzymamy, a może téż i nasi nadbiegną.“

Ale komendant każe czempredź schodzić z góry.

Lubo niechętnie zeszedliśmy na dół. Uszykowaliśmy się. Ale wnet nas opadły roje Hiszpanów jakby szerszeni. Nie była to już walka, ale prosta szturchanina. Biliśmy, co nam siły starczyło. Ale nic to nie pomogło, boć ich miało być po sześćdziesięciu na nas jednego, i to jeszcze na nieszczęście nie mieliśmy ładunków. Bo gdybyśmy byli mieli ładunki bylibyśmy sobie dobrze z nimi dali radę, i z góry bylibyśmy sobie do nich palili jak do wróbli. Ale tak braliśmy ich na bagnety, aż nam wreszcie i sił brakło i ustaliliśmy wołając: Pardon, pardon!

Ale nie dali nam pardonu za to, żeśmy ich — choć nas tak mało było — dużo nązgali; tylko tłukąc nas zemdłałych już prawie zupełnie kolbami, gnali nas ku Motryłowi. Wpędzili nas na jakieś wilgotne miejsca, gdzie rosła bawełna. Tu dopiero w téj fatalnej bawelnie zaczęli do nas sypać ogniem plutonowym.

Nasze wiarusy nie mogąc zemdleni już się bronić, padali jak muchy. Gdzie się obejrzę trup — zewsząd słychać polskie „O Jezus!” wychodzące z ust padającego od strzału lub bagneta.

Nasz komendant, który nam taką łaźnię sprawił, ze swymi dragonami bił się wprawdzie téż do upadłego, ale widząc, że nie ma ratun-

ku, przerznął się przez nieprzyjaciela i drapnął z resztą konnicy do Granady, a nas biedaków w takim bigosie zostawił. Hiszpanie widząc zresztą, że się już bronić nie możemy, i że wołamy pardon, dali nam wreszcie pokój, boć już nas téż ledwo stu zostało, i pędzili nas jak trzodę bydła przed sobą do Motryla do niewoli.

Niewola Hiszpańska i Angielska.

Smutno mi opowiadać o mojej niewoli. Bo żołnierz, dopóki z bronią w ręką i dopóki się bić może, to minny i pan, choć jeść nie ma czasem co; ale odkąd dostanie się do niewoli, to mu życie niemiłe. Tak było zemną.

W Motrylu zamknięto nas wszystkich na jednym cmentarzu. Obdarto nas ze wszystkiego, nawet z rzeczy na sobie. Na niektórych ani koszuli ani spodni nie zostawiono. Ja, Kur-

czewski i niejaki Prożyński z Łowicza staliśmy pod murem zupełnie nadzy, jak nas Bóg stworzył, bo nas tak obdarto.

A tu upał nieznosny, a ludu wielka moc jakby na teatr zbiegała się, by nas wyśmiać i sponiewierać.

Na domiar złego tak odartych przegnano nas w dzień biały przez całe miasto tam i napowrót na pośmiewisko większe ludu. Bogu tylko wiadomo, ilem wstydu wyżył. Spuściłem oczy ku ziemi i modliłem się cicho do Boga, aby mnie wybawił od téj hańby i sromoty, lub zabrał z tego świata. Gdybym był miał broń w rękę, byłbym uderzył na wszystkich lud i całe wojsko, ażeby albo zginąć albo po trupach ratować się od tego wstydu. Ale darmo, nie szło.

Gdy tak stojimy pod murem, przybył też nas oglądać jakiś hiszpański jenerał w stósonym kapeluszu. Szedł przed naszym frontem. Gdy doszedł do mnie, ja wzniosłem ręce do góry wołając po hiszpańsku: „Panie jenerale, zlituj się! Wszak pies ma przynajmniej ogon, by nagość swą pokryć!”

Jenerał słysząc hiszpańską mowę z ust moich, szturchnął mnie w piersi ręką, tak mocno, że byłbym upadł na ziemię, gdyby nie mur cmentarza, i krzyknął ze złością:

„Toś ty Hiszpan, a trzymasz z Francuzami?”

„Nie, Panie jenerale, ja nie Hiszpan, lecz Polak?”

„Jakże więc umiesz tak dobrze po hiszpańsku?”

„Przez lat kilka już bawiąc w tym kraju nauczyłem się tego języka.”

„A z którejś ty prowincyi?”

„Od Poznania, panie jenerale, jestem Polak, katolik.”

Widać, że go nasze nieszczęście nieco wzruszyło, bo zaraz kazał nam przynieść kurtki i krótkie spodnie na jeden guzik z boku zapinane, jak to dawni Polacy nosili. Mnie i kurtka i spodnie były za małe. Pozostał mi więc goły pas ciała w samym stanie jak dłoń szeroki, i tak chodziłem jak żebrak najgorszy przez dwadzieścia i jeden dni. — Jednakowoż takiej radości nie pamiętam w życiu, jak wtedy, gdym trochę téj odzieży zarzucił na biedne ciało moje. Jużem śmielej patrzył na ludzi, na słońce i na ten świat Boży. Niedługo potem przyszedł rozkaz, żeby nas wsadzić na okręt i zawieść do *Alikanty*¹⁾. Wzięto nas tedy i zawieziono głodnych na łodziach do okrętu.

¹⁾ Alicante miasto nad morzem Śródziemnem w prowincyi Walencyji.

W téj saméj chwili, gdyśmy odpływali, powieszono w mieście Wyszyńskiego z Mosiny i czterech innych naszych. Nadszedł téż właśnie wtedy mocny oddział Francuzów od Almeryi, ten właśnie na któryśmy czekali, a który się spóźnił, bo w drodze był zatrzymany przez Hiszpanów. Z powieszonych Polaków Wyszyńskiego i jeszcze jednego zdołali uratować, a trzech innych już zastali uduszonych. Nam przybycie Francuzów już nie nie pomogło. Przyszli dwie godziny za późno. Płynęliśmy więc jako więźniowie na hiszpańskim okręcie. Okropnie się z nami obchodzono. Zamknęli nas w owym okręcie do ciasnej komórki jak śledzie w beczce. Upał był taki, że się здавало, iż w tém ciężkiem i gorącym powietrzu człowiek albo się udusić albo spalić musi. A tu ani kropli wody pić, ani kawałka chleba, ani żadnego pożywienia najmniejszego nie dali. Niektórzy już tak byli zemdleni, iż ruszyć się nie mogli, jeno leżeli już na wpół prawie umarli. Bo téż pierwsze dwa dni nic my w ustach, ani kropli wody nawet nie mieli, a pragnienie na morzu w tym upale było wielkie. Dopiero trzeciego dnia pod wieczór, gdy widzieli, że już ledwo żyjemy, — posłali po wodę na ład. Między innymi kazano i mnie téż jechać po tę wodę, bo miałem jeszcze dosyć sił. Byłem zaś mocniejszym od drugich moich kolegów



dla tego: Drugiej nocy pobytu naszego na owym okręcie zaczęło mnie palić takie pragnienie, że na żaden sposób zasnąć nie mogłem. Szukałem więc chłodnego miejsca, żeby przynajmniej rękę ostudzić. Nie wiedząc sobie rady, wyszedłem po cichu na pokład z naszego ognistego pieca. Tu szczęśliwie namacałem beczkę z wodą, której pilnował żołnierz. Po cichu wyjąłem szpunt i przyłożyłem usta do picia. Ach piłem i piłem — a żaden miód na świecie nie mógł być słodszy i milszy od tej wody! Mnie się zdało, że całą beczkę wypiję, i kto wie czybym nie był wypił. Ale na nieszczęście posłyszał mnie żołnierz na straży stojący, który mnie tak oderzył kolbą w grzbiet, że na złamanie karku do naszej komórki z pokładu na sam spód okrętu zleciałem. Bolały mnie kości, ale cóż to szkodziło, kiedym się tak uraczył jak nigdy w życiu! Wzmocniwszy się w ten sposób, byłem silniejszym na nogach od innych. Ale głód mi dokuczać zaczął straszny, bo przez całe trzy dni krzepilem się tylko cebulką, którą znalazłem na okręcie, i tak z niej codzien potrosze ugryzałem. Szczęście chciało, że mnie posłano po ową wodę na ląd. Ucieszyłem się wysiadając na ląd, gdym ujrzał, że hiszpańska rybaczka miała chleb w ręku, i poczęła go krajać i dawać innym. Biegnę najpierw do niej co ducha i proszę też o kawałek

chleba, bo, mówię do niej, już trzeci dzień jak nic nie jadłem. Ulitowała się nademną pocziwa kobiecina, i zaczęła płakać nad biedą naszą, mówiąc że i ona ma syna u wojska i nie wie, co się z nim stało. Ale gdy mi już ów chleb kraje, przypada Hiszpan i woła na nią: „Nie dawaj, bo oni księdza zabili w Motrylu!“ Mnie wtenczas w duszy aż pikać zaczęło, bo takem się cieszył na ów kawałek chleba, a nie dostałem nic.

Kto nie uczuł nigdy głodu wielkiego, ten nie pojmie nigdy co mi się wtenczas robiło, gdym zgłodniały widział chleb, miał z niego kawałek dostać, a nic nie dostałem. Rozpacz mnie prawie pobierała, i jakby szaleństwo jakieś mnie opanowało. Ale przecie wody nam nie żalowali na lądzie. Napilem się więc przynajmniej tyle, ile chciałem.

Nabrawszy wody wróciliśmy na okręt. Sześć dni i sześć nocy płynęliśmy jeszcze do Alikanty. Za całą żywność dawano nam teraz dziennie półtoręj kwarty wody i chleba na dwa razy w usta.

Przybywszy do Alikanty, bawiliśmy tam dwanaście dni. Trzymano nas w jakimś magazynie. Dawano nam monetę realem zwaną — niby czwartą część franka¹⁾ i za taki pieniążek

¹⁾ Według naszych pieniędzy około dwanaście groszy polskich.

trzeba nam się było co dzień wyżywić. Szczęście, że tam śledzie tanie, bo tam śledzie solono i pakowano w beczki. Za pół grosza można było dostać trzy ogromne śledziska, ale takie, co to już były najgorsze. My prawie śledziami żyli. Bo i wyrzucali dość śledzi takich, co im się na nic nie zdały — my więc je zbieraliśmy i jedli. Później nam jednak zakazali ich zbierać, mówiąc żebyśmy się nimi mogli otruć, bo to złe śledzie wyrzucają. Pić się chciało prawda bardzo po owych śledziskach, ale Bogu dzięki, żeśmy przynajmniej wody mieli pod dostatkiem.

Wolno nam też było chodzić po mieście: widzieliśmy przeto dużo ciekawych rzeczy i wiele przeróżnego narodu, mianowicie Turków, aleśmy się z nimi na żaden sposób rozmówić nie mogli. Aleć też tam była rozmaitego wojska tak hiszpańskiego jak i angielskiego. W mieście była obfitość wszystkiego. Widzieliśmy massy sztokfiszu i ryżu, które na placach stożkami leżały. Kto miał pieniądze, mógł się na jeść. Ale my tylko patrzeli na owe dostatki, ślinkę połykając.

W Alikancie był jakiś gubernator angielski i więcej jak sześćdziesiąt okrętów, co oni flotą nazywali. Temu Anglikowi nas oddano. On kazał nas w szeregu ustawić ażeby przegląd odbyć. Gdy nas ujrzał na wpół nagich,

bez koszul, wynędzniałych, pytał się cośmy za jedni. Gdyśmy mu powiedzieli, żeśmy Polacy, począł okropnie pluć Hiszpanom w oczy powtarzając: „Wy nie wiecie co to za ludzie! — Oni nie mają swój Ojczyzny, swego króla — służą więc innym, a służą wiernie. Oni to głównie przyczynili się Francuzom, że tyle bitew wygrali! To naród szlachetny, bitny. To lud katolicki, a wy katolicy takeście ich obdarli? Godziż się z żołnierzem w niewoli tak postępować?”

Okropnie im tam przy nas w uszy nakładł, i kazał nam natychmiast dać po koszuli i wyliczyć każdemu po talarze pięciofrankowym. Niech mu Bóg nagrodzi za to, boć pewnie już nie żyje!

Tego samego dnia jeszcze wsadzili nas na okręty i powieźli do Gibraltaru¹⁾. Przybywszy tu nie dali nam wsiąść na ląd, lecz przez dwa tygodnie trzymali nas na morzu dość daleko od brzegów. Potem nabraliśmy słodkiej wody i zawieszono nam łóżka na powietrzu. Były to jakby worki jakie, do których, gdy człowiek wszedł, dyndał się i kołysał jak w kolebce — co nas bawiło, bo nieraz jeden o drugiego zawadził. Gdy nam było gorąco, tośmy

¹⁾ Gibraltar mocna twierdza w skale wykuta nad morzem, w Hiszpaniji ale należąca do Anglików.

wychodzili na pokład i tamęśmy nocowali. Z Gibraltaru płynęliśmy do Kadyksu¹⁾, a z Kadyksu jednym ciągiem brzegiem Portugaliji i Francyi aż do *Portsmut*²⁾ w Angliji, gdzieśmy wylądowali. Tu nam dali Anglicy kurtki, spodnie i koszule płóciennę, a gdy nas tak ubrali, dopierośmy wysiedli. Po dwu tygodniach pobytu w Angliji, zaprowadzono nas do *Kumerland*³⁾, jednéj forteczki nad morzem. Tu nam dali mydła, każdy się musiał wygolić, wymyć i wykapać, poczem dopiero osadzono nas w koszarach. Dawali nam dziennie pół funta mięsa, funt chleba i dziewięć pensów, niby trojaków.

Wzięto nas potem do *Lamenton*⁴⁾ gdzie był główny skład angielski. Tu rewidowano nas wszystkich, mierzono i kompletowano nami pułki swoje w Indyjach i Bóg wie gdzie za morzami stojące. Z płaczem żegnaliśmy się na zawsze z towarzyszami, którzy szli daleko za morze w służbę angielską. Wielu zaś z nas wymawiało się od téj służby. Ja zwłaszcza byłem ranny pod Gdańskiem, powiadałem więc, że jestem już słabym i inwalidą. Posłano nas do *Arycza*⁵⁾ nad morzem⁶⁾, gdzieśmy także dwa tygodnie stali, trzymając warty i sta-

1) Kadix, miasto i twierdza w Hiszpaniji, nad morzem Atlantyckiem.

2) Portsmouth. 3) Cumberland. 4) Limington.

5) Harwich. 6) Północnem.

wajac rano i w wieczór do apelu. Obchodzili się z nami grzecznie i po ludzku, a to wszystko w tym celu, aby nas zwerbować—chcieli nas nawet w Angliji pożenić, byleśmy tylko zostali.

Z Arycza wodzano nas po różnych miastach angielskich, aż nas wreszcie zawieźli do Londynu¹⁾, gdzieśmy odbywali noclegi na przedmieściu. Dziwny zwyczaj w téj Angliji, bo codzień przynieśli nam na kwaterze na półmisku cynowym tytuniu, i każdemu dano codzień nową długą fajkę gipsową. Dnia jednego było to w Niedzielę, kiedy tak sobie rano może około ósmej godziny palimy owe fajki gwarząc o naszej niewoli, przychodzi nagle dziewczyna, i nie nie mówiąc bierze nam owe fajki od gęby i postawia na bok. My mieliśmy nakaz, żeby wszędzie być jak najgrzeczniejszymi. Złękliśmy się więc nie wiedząc, co to znaczy. Myśleliśmy bowiem, że który z nas co na kwaterze przeskórzył i wszyscy za to będziemy karani. Idę więc zaraz ja i jeszcze z jednym kolegą meldować to sierżantowi angielskiemu, który nas miał pod mocą i zarazem uniewinnić się, gdyby nas o co gospodarz miał posądzić. Dopiero ów sierżant pocziwy, Polak rodem z Zamościa, który już kilkanaście lat

1) London, stolica Angliji, największe miasto na świecie.

pełnił służbę u Anglika, powiada nam, że tu w Angliji jest takie prawo, iż w Niedzielę podczas nabożeństwa niewolno ani fajki palić. Dopierośmy się uspokoili na tę nowinę, ale zarazem pomyśleliśmy sobie: Mój Boże, ten lud angielski nie katolicki, a jednak jak on to obserwuje święto, a u nas katolicy nie boją się Boga, jeno w Niedzielę lub święto nietylko że fajki palą, ale pracują!

Ledwieśmy w onęj stolicy państwa angielskiego odpoczęli, powożono nas na okręt i wieziono do wyspy świętej Heleny¹⁾. Wtęj długiej i dalekiej podróży wieleśmy ucierpieli. Morze nieraz okropnie się burzyło. Morska choroba²⁾ bardzo nas nękała. Niebo i wodę widzimy tylko co dzień. Tęskno i nudno — przepaści roztwarte pod nami, trwogi i niebezpieczeństwa co chwila pełno. Zdawało się, że nigdy nie zapłyniemy, tylko tak będziemy bujać po tych topielach do końca świata. Com się wtedy naziewał, toby nikt nie uwierzył; myślałem, że mi się gęba rozedrze. Na nogach ledwie się trzymał, tak się okręcisko

1) Wyspa św. Heleny, ta sama, na którą później cesarz Napoleon po swoim upadku był wywieziony, leży na wielkim Oceanie Atlantyckim, z jakie tysiąc mil lub dalej od brzegów Angliji odległa.

2) Zwyczajnie każdy niezwykajny morskich podróży doznaje na morzu wielkich nudności i mdłości, i wiele i ciężko zwracać musi, — co się nazywa morską chorobą.

chwiało jak pijane. Rozmajite zwierzęta wodne wyskakiwały podczas ciszy morza nad wodę, aż strach było spojrzeć. Gdy człowiek wyszedł na pokład i patrzył na tę okiem niezmierzoną wodę, to aż się w głowie zawracało. O ziemi ani słychu — bałem się, czy nie zapomnę chodzić. Jużto co ciepła, to aż nadto użyłem, bo w piecu od chleba nie może być gorącej. Przybyliśmy nareszcie.

Wyspa Świętej Heleny jest jakby z kamienia zrobiona, a kamień bielutki. Jest tam porządne miasteczko, piękne też kościoły, w których słyszałem śliczną muzykę i śpiew. Oszadzano nas w koszarach i nie dano wychodzić. Używali nas potem do różnych robót. Fala była przypędziła dwa jakieś okręty, na których było pełno towarów. Musieliśmy je więc jak tylko morze opadło, co dwa razy na dzień bywało, odkopywać je i z piasku wyciągać. Wydobyliśmy je nareszcie na brzeg. Miwaliliśmy też inną robotę. Rąbano i ciosano kamienie z góry; te potem musieliśmy znosić do komendanta. Ale za to dobrze nam płacili, bo po dwa szylingi, to jest po cztery złote polskie dziennie. Po kilku niedzielach kazał nas komendant zawołać i pytał, czy chcemy służyć w Indyjach? ¹⁾ My odpowiedzieliśmy

¹⁾ Indyje jest to kraj leżący w Azyji, a tak daleko,

otwarcie, że tego na żaden sposób nie chcemy, i że prosimy o litość nad naszym losem, że będąc Polakami chcielibyśmy umierać na własnej ziemi. Komendant ujęty naszym dobrem zachowaniem się, a bardziej widząc naszą tęsknotę, wzruszył się litością. Wkrótce kazał przygotować okręt, zaopatrzyć we wszelką żywność i wyprawił nas z powrotem do Europy, i to do Hanoweru¹⁾. Szczęśliwie przebyliśmy morze. Każdy z nas miał pisane świadectwo i paszport do tego miejsca, skąd byłem rodem.

Wysiedliśmy, blisko brzegów hanowerskich będąc, na morzu z okrętu na łodzie, i na nich zbliżyliśmy się bardziej do brzegu. Ale że i dla łodzi było już za mało, musieliśmy przeto brodzić po wodzie przeszło dwa staja. Zmoczeni i zziębli wyszliśmy na ląd we Frisland, gdzie już się znajdowali Francuzi. Ci odebrali nam paszporta, kazali sobie oddać wszystkie rzeczy, któreśmy mieli z Anglii, a złożywszy na kupę zapalili mówiąc, że oni nic z obcego kraju nie potrzebują. Co za racya, myśleliśmy sobie, jak gdyby nam nie było potrzebne, bez czego oni się obejdą. Mnie

że nasz zuch musiałby jeszcze dwa razy tyle morza przepłynąć, ile już przepłynął jadąc na wyspę św. Heleny.

1) Hanower, jest to małe królestwo w kraju niemieckim leżące nad morzem Północnem, skąd już niedaleko i do Francji i do Polski.

spalili tak ładne lustenko i dobrą brzytwę, którą sobie z oszczędzonego grosza byłem kupił w Angliji. Potem zagnali nas na nocleg do pustej stodoły. Już to nastawał czas zimy: śnieg leżał na ziemi po kostki, wiatr wiał zimny — my byliśmy przemoczeni ową przeprawą na ląd, byliśmy zresztą przyzwyczajeni do ciepła: tak więc nam w owej stodole było zimno, żem nigdy jeszcze nie słyszał takich jęków, jak my wtenczas z zimna jęczeli. Jużśmy myśleli, że nie doczekamy rana, jeno w tej stodole zmarzniemy, zwłaszcza żeśmy nie ciepłego w ustach nie mieli. Ale szczęśliwie przeżyliśmy tę noc. Stąd pędzono nas do Amsterdamu¹⁾. Tu nie chcieli Francuzi wierzyć, że wracamy z niewoli Angielskiej. Owszem posądzali nas, żeśmy w Hiszpaniji do Anglików uciekli. Trapili więc nas bardzo swojemi wypytywaniami.

Siedzieliśmy w Amsterdamie zamknięci dwa tygodnie. Nie dosyć było biedy od cudzych, trzeba nam było jeszcze cierpieć od swoich — aleć to tak często bywa na świecie! W końcu zawołano nas przed jakiegoś generała francuzkiego. Ten nas znowu badał o wszystkim. — Napisał wreszcie do pułków

¹⁾ Amsterdam, miasto znaczne i handlowe nad morzem, stolica królestwa Holenderskiego.

naszych i dopiero przekonał się, żeśmy nie dezertowali od wojska, tylko dostali się do niewoli. Wypisał więc nam marszrutę do naszego składu do Bordo, gdzie już raz byłem maszerując do Hiszpaniji. —

Z Amsterdamu szliśmy na Luksemburg¹⁾. Tu nie w mieście, tylko w jednej wsi za miastem dostaliśmy nocleg u jakiegoś bogatego Niemca. Braliśmy po trzy su, to jest po siedm i pół groszy polskich na milę, oprócz tego każdy gospodarz na kwaterze musiał nam dać bezpłatnie soli, wody i ognia. W owéj wiosce kupiliśmy sobie mięsa i każemy gotować. Ugotowano nam, ale bez soli dano na stół, i na żaden sposób soli dać nie chcą. Umawiamy się więc z Niemcem, żeby dał soli. On nie chce. Gdy się tak wadzimy o ową sól, przybiegł nagle kot, wpadł na stół i porwał nam kawałek mięsa. Może to niejednemu dziś śmiesznem, ale nam się wtenczas z tego przypadku śmiać nie chciało, bośmy byli głodni, żebyśmy kamienie byli jedli. Biorę więc rozgniewany gospodarza za kark, przekładam na stół i pięstykuję co nie miara. Po téj łaźni dobrej wsiada on czempredzój na konia i jedzie na skargę na nas do Luksemburga. Koledzy moi zaczynają na mnie gadać, że dla mnie będą może nie-

¹⁾ Luxemburg, miasto nad granicą francuzką.

szczęśliwi. Ale ja ich uspokoiłem mówiąc: „Za to, com ja zrobił, ja odpowiem.“ Wrócił ów Niemiec. Ja nie tracąc miny, idę zaraz do niego i pytam, co wskórał. On mi na to nic nie odpowiada, tylko prosi z sobą do sklepu. Wchodzę z dobrym kijem, bom mu nie wierzył, czy mnie tam nie zacznie dusić.

A on tymczasem toczy w dzban wino i podając mi mówi: „Nie wiedziałem, coście za ludzie, widząc was tak nędznie ubranych; ale dowiedziałem się; teraz w domu mojim odtąd niczego wam brakować nie będzie.“ —

Ja go téż przeprosiłem, żem się z nim tak źle obszedł dodając, że mnie bieda i niecierpliwość do tego zmusiła. I prawdziwie dał nam odtąd podostatkiem do picia i jedzenia. Obiecał mi jeszcze na piwo dać nazajutrz, ale żeśmy rychło wychodzili, a on spał jeszcze, więc nic nie dostałem.

Z Luksemburga szliśmy do Paryża, gdzie nam dano po ośmnaście franków¹⁾ nagrody, a po drugie ośmnaście franków mieliśmy dostać w Bordo. Z Paryża przechodziliśmy przez całą prawie Francją, aż nas wreszcie zatrzymano w Bordo, gdzieśmy po tylu miesiącach niewoli po raz pierwszy śliczną, czystą dostali bieliznę i pięknie nas umundurowano, tak że

¹⁾ Około dwadzieścia ośm złotych polskich.

człowiek znowu dostał chętki być żołnierzem, bo w niewoli prawdziwie się tego odechciało. —

Wojna z Moskwą w roku 1812.

Sześć tygodni wypoczęliśmy w Bordo. Mnie dano tresy i galonki kaprałskie, bo lubo w Hiszpaniji ciągle pełniłem służbę kaprałską, tu jednak dopiero prawdziwie na ten stopień mnie posunęli.

Jakże nam miło było spocząć wśród swoich po tylu trudach niewoli! Śmialiśmy się z niejednej biedy naszej, która nas dawniej do płaczu prawie pobudzała.

Mając wolny czas dziękowaliśmy téż Bogu za nasze wybawienie.

Po sześciotygodniowym pobycie naszym w Bordo wracały pułki nasze z Hiszpaniji i wszystko miało hurmem ruszyć do Rossyji. Wcielono i nas do dawnych naszych kompaniji.

Wielką siłą i z dobrą ochotą ruszyliśmy do Rossyji. Każdy z dobrą miną, bo każdy był pewien zwycięstwa. Bitwyśmy się żadnej nie lękali, boć to wszystko prawie był stary żołnierz, co nie zjednego pieca chleb jadał i nie raz dobrze powąchał prochu. Ja z mojami szedłem na Berlin, Szczecin i Królewiec. Z Królewca szliśmy prosto do Litwy.

Przed Wilnem¹⁾ stanęliśmy na wzgórzu, ubraliśmy się jak na paradę i z muzyką weszliśmy do miasta. Tuśmy tylko dzień odpoczęli i zaraz szliśmy dalej aż pod Smoleńsk²⁾. Pod Smoleńskiem dopiero przyszło do wielkiej bitwy. Już zdala natrafialiśmy dużo leżących po polach kaszkietów, pałaszy i różnych rzeczy po zabitych. Zabitych pewno byli zaraz pochowali. Wielu tam Polaków zginęło, mianowicie z czternastego, szesnastego i siedemnastego pułku, które przed nami pod Smoleńsk były przyszły. Przetrzepaliśmy się tu doskonale i szturmem zdobyliśmy Smoleńsk, a Moskale uciekali na łeb na szyję. — My, cośmy przybyli z Hiszpaniji, nie byliśmy pod polską, lecz zawsze pod francuzką komendą, a Francuzi zawsze, gdzie im ciężko szło, nas posyłali. Kiedy

¹⁾ Wilno stolica Litwy nad rzeką Wiliją wpadającą do Niemna.

²⁾ Smoleńsk miasto na granicy państwa Moskiewskiego nad rzeką Dnieprem.

przyszło nacierać na nieprzyjaciela, to nas naprzód postavili, a kiedy armija rejterować musiała, to nas w tyle zostawiono, zawsze tam gdzie największe było niebezpieczeństwo. Trzy tygodnie zabawiliśmy w Smoleńsku.

Posunęliśmy się potem o siedm mil za Smoleńsk, i pod miasteczkiem Szcześnikami, — które jest drewniane, jak prawie wszystkie miasta moskiewskie, które widziałem — zaszła znów bitwa. Po zaciętej walce Moskale zrejterowali, a my dalej za nimi.

Na płaszczyźnie jakiejś wielkiej przyszło niedługo potem znowu do bitwy, ale tak strasznej, że w życiu okropniejszej nie widziałem, choć przecie w Hiszpaniji codziennie prawieśmy się bili i niejedną wielką bitwę stoczyli. Moskale stali jak mur.

Strzelaliśmy do nich bezustannie całemi kolumnami, a przecie każdy z nas umiał się ze sztucerem obchodzić i pewno napróżno rzadko kiedy strzelił, jednakowoż Moskali ani rusz. Grały armaty nasze, że aż strach, a na holenderską naszą artyleryją mogliśmy śmiało liczyć, że nie chybia. Moskale mimo to stali i nie było widać, żeby jakikolwiek wyłom był zrobiony w ich kolumnach.

„Darmo dzieci, mówi komendant nasz Żyro¹⁾,

¹⁾ Giraud.

przestańmy się bawić, bo Moskale widać ciągle się luzują i ciągle im nowe przybywają posiłki. Wieczór już nadchodzi, a my z nimi nie skończymy. Pospieszmy się, by dziś skończyć; pokażmy im, żeśmy byli w Hiszpaniji. Daléj na bagnety!“

Włosy na głowie stawają, gdy sobie wspomnę owo żganie. Konnica z konnicą rąbała się na przebój, a my równocześnie piechota braliśmy na bagnety jednego Moskała po drugim. Jużemy od hałasu nie słyszeli komendy wcale, jeno każdy się uwijał jak mógł. Ja sam oczy zamknąłem, bo mi téż już i pot je zalewał, i patrzeć nie mogłem na takie mordowanie się ludzi, a żgałem co mogłem. Krew się lała strumieniami. Niepodobna, jeno Moskale musieli być popici, boćby się przecie nie byli dali tak żywo zarzynać i mordować. Ruszyliśmy ich wreszcie z miejsca, a wnet zaczęli i na dobre uciekać. Ale tyle trupów, co tam było, nie widziałem nigdy. Po dwóch a czasem i po trzech trupów leżało na kupie. Nie których ciało popakuliło się już, bo tak konnica jak i armaty po nich nawracały. Jęk rannych, ryk koni przeraźliwy strasznie się słuchał, który tym okropniejszym się wydawał, że to już było po zachodzie słońca.

Nazajutrz po téj bitwie kazano nam woltyżerom pozbierać rannych z pobojuwiska,

a nasi stali obozem pod borem w odległości może ośmiu staj od owego straszego miejsca. Ruszamy na plac boju. Jużśmy byli pozbiierali każdego, co jeszcze był przy życiu, i wracamy do swoich, gdy nagle widzę zabitego jakiegoś jenerała moskiewskiego już stęgniętego między trupami. Leżał w płaszcz obwinięty, tylko złote galony, szlify i pasy było mu trochę widać. Patrzę, ma złoty łańcuszek od zegarka. Jakieś lichy mnie skusiło, żem rozpiął mundur na nim, i zajrzałem do kieszeni. Było tam czternaście talarów Maryji Teresy, i piękny złoty zegarek. Biorę to wszystko. Chcę wziąć łańcuszek złoty, ale Moskal już sztywny, nie mogę więc zdjąć, a zerwać nie chciałem. Ale miał i szelki łosie ładne. Myślę sobie: Właśnie mi téż szelek potrzeba, cóż onemu po tem? Nie wezmę ja, to je weźmie inny, albo w ziemi zgniją, a mnie się bardzo przydadzą. — Gdy się więc mocuję, by z niego ściągnąć owe szelki, a tu skąd się wzięło to się wzięło dwóch moskiewskich huzarów i pędzi do mnie, co konie wybiedz mogą. O nieszczęśliwe szelki! myślę sobie, pewno teraz śmierć pojem za nie!

Dopadają do mnie i krzyczą: „Kryczy pardon Lachu! ne udjesz ne udjesz!“ to jest: krzycz pardon Polaku, nie ujdiesz nam, nie ujdziesz! Ja chwytam sztucer, i co który do mnie dopada, to ja mierzę, a on odskakuje.

Tak się uganiam z nimi ciągle co tylko mogę, cofając się ku swoim. Oni strzelają do mnie z karabinków, nacierają na mnie pałaszami, ale kula żadna mnie nie trafia, a pałasz odpie ram bagnetem. Już mi siły zaczęły ustawać, pot mi oblał oczy. Byłem pewien, że strzałem mojim jednego zabiję, ale wtenczas drugi śmie lój na mnie nacierać będzie wiedząc, że już strzelić nie będę mógł. Krzyczę więc wreszcie na swoich co gardła. Usłyszeli. Przybyło dwóch leżerów¹⁾ naszych mi na pomoc. Ja widząc, że już są blisko, jak palnę ze sztucera, na miejscu jednogom zabił. Drugiego zaś chcia- łem wziąć bagnetem pod biodra i wysadzić z siodła, a tymczasem koń się zląkł i odsko- czył trochę na bok. Miasto huzara trafiłem przeto konia w pierś aż się bagnet zgiał. W tym samym czasie huzar jak mnie płałnął w lewą rękę, tak mi zaraz przeciął żyły, i uciął wielki palec u ręki.

Zamachnął się powtórnie pałaszem na mnie i byłby mnie pewno prosto przez głowę ciął, ale na szczęście jeden z przybiegłych naszych leżerów w tym samym momencie dał mu cię- cie z tyłu i odciął mu rękę w ramieniu.

Tak tedy dla głupich szelek narobiłem sobie niepotrzebnego bigosu i bólu. Złowiłem

¹⁾ To jest z lekkiej konnicy.

prawda kilkanaście talarów i zegarek, ale pozbyłem się palca, który pod żadną maścią nie odrósł. Wziąłem w onczas ów palec na skórce u ręki wiszący, urwałem i rzuciłem na ziemię. Krew mi oblała całą rękę, z żył płynęła jakby lała. Strach mnie było, że mnie krew ubiegnie. Leżery nasze wołają na mnie: „Siadaj woltyżer na konia.“ Aleć mnie się na konia wsieść nie chciało. Wołałem się wlec pieszo za nimi, a oni w środku między sobą prowadzili konia owego huzara moskiewskiego przezemnie zabitego. Przyszliśmy do naszych. Miałem strach, że mnie starsi wyłają, albo może i ukarzą za to, żem się tak zabałamucił. Aleć przecie starsi u ogniska siedzący kazali mnie przywołać do siebie. Idę skłopotany i zbolały, a oni tu już zdala wołają:

„Bon voltigeur, bon garson, bravo! bravo!¹⁾ Widzieliśmy twój manewr i podziwialiśmy go, aleśmy nie wiedzieli, kto z kim się tak uciera. Myśleliśmy, że to swój ze swojimi tak się bawi.“

Śmiali się potem i żartowali ze mnie. Ale mnie się żartów nie chciało. Gdy zobaczyli mą krew, kazali natychmiast doktorowi opatrzyć mi ranę. Zrobił to zaraz. Wtem kapitan

¹⁾ To jest: Dobry woltyżer, dobry chłopak, brawo, brawo!

nasz chciał wziąć owego konia moskiewskiego, ale jenerałowie nasi nie dali mówiąc: On życie swe hazardował, jemu się koń należy. Dał mi więc kapitan pięć talarów za owego konia. Ale bodajbym ich nigdy nie był widział. Być to pewno kara Boża za moje cheiwestwo.

Opuściwszy ów straszny plac boju ruszyliśmy dalej aż blisko Moskwy. Stojąc pod Siannem usłyszeliśmy pogłoskę o spaleniu Moskwy — ale nie powiadano nam kto ją zapalił. —

Pod Możajskiem okrutnieśmy się znowu nauganiali z Moskalami. Niedługo potem wróciliśmy się na obserwację armiji naszej z tyłu. A tu widzimy, jak urywki naszych ciągną napowrót. Kirasery i dragony — sama ciężka jazda — idą najpierw z pałaszami i tornistrami na ramieniu. Wnet za nimi żołnierze naszej armiji wleką się jedni bez ładu i składu, a drudzy na sankach migają się przed oczami naszymi — mianowicie starsi. — Już w Sianie kazał nam jenerał nasz Żyro wyganiać z domów maroderów i kalek z pomarzłemi nogami, co nas nie mało zastanowiło, że to już swój swego ma bić — ale teraz widząc tyłu powracających nazad, zaczęliśmy się lękać i głośno o tem nawet przed oficerami mówić. Oni nas pocieszali, że to idą po konie do Litwy i Polski, ale nam się inaczej zdawało.

Kozacy téż coraz częściej nam się pokazywali i krzyczeli, ale ledwośmy zaczęli strzelać, umykali, co żywo. Raz pokazali się nam na zmarzłych jakichś błotach. Uderzyliśmy na nich i byliśmy pewni, że konie ich porozbijają się na łodzie. Ale one usiadły na zadzie i tak ślizgając się uciekały przed nami. I najgorsze téż to były te kozaczyska, bo to choć znikąd nie było widać wojska moskiewskiego, oni się jednak ni stąd ni z owąd wynurzyli, i tak nam nigdy pokoju nie dali.

Wkrótce i cała armija zaczęła się cofać. Przyszliśmy nad rzekę Berezynę. Tu znaleźliśmy most popsuty, a który nasi znów budowali czempredziej wiążąc ze sobą łodzie, a na to kładąc najpiękniejsze jodły i świerki. Nad rzeką były piękne lasy świerkowe i śliczna jedlina, jako i błota zamarzłe i śniegiem grubo pokryte. Rzeką sama z brzegów była zamarzła, a środkiem szła gęsta kora. Przez dwa dni okropnie biliśmy się nad tą rzeką. Raz my Moskali od rzeki odegnali, bijąc się co nam sił starczyło, drugi raz Moskałe gnali nas z całą siłą, by nas wszystkich w rzecę potopić.

Co tam zginęło ludzi i koni, to trudno obliczyć. W rzecę koń przy koniu z całemi kulbakami i tłomokami jak tylko okiem można było dojrzeć pływał, a kora o nie uderzała;

kostniały z zimna a wydostać się nie mogły, bo nad brzegiem stał łód, który się pod ich nogami załamywał. Kwiczały więc owe biedne bydłeta tak przeraźliwie, że włosy na głowie stawały. Ledwo most stanął, wszyscy chcieli razem się przeprawiać, bo Moskale tuż za nami bili z armat i z ręcznej broni. Ilu to tam nawałowało w rzekę tak piechoty jak i konnicy, to aż strach wspomnieć, bo wszystko się pchało, żeby jak najprędzej przejść przez most. Wołano to po polsku, to po francuzku o ratunek, ale nikt tam nie miał czasu ratować, bo każdy starał się, żeby tylko z własnem ująć życie. My broniliśmy mostu, a tak zacięcie jak nigdy, bo trzeba było koniecznie Moskali odegnąć od rzeki, gdyż inaczej oniby nas w rzekę byli wegnali. —

Drugiego dnia wśród bitwy zostałem ranny, nie wiem czy od kuli armatniej, czyli też kawał ziemi zmarzłej oderwała kula i mnie nim raniła. Dość, że była to rana tak straszna w nogę, że mi cała noga spuchła. Odszedłem więc na bok, sam sobie ją opatrzyć i obwinać, boć tam nie było czasu szukać doktora. Obłożylem ją lodem z Berezyny rzeki i po kilkogodzinym okropnym bólu zrobiło mi się nieco lepiej tak, iż chodzić mogłem. Idę więc — a już był wieczór — do mostu, a tu nasze pontonierzy most rozbierają. Wołam przeto na innych

mojich kolegów rannych żeby przechodzili co prędzej, a sam sztucerem się podpierając przechodzę rzekę już tylko po belkach. Zem wtenczas nie wpadł w rzekę, to łaska Boska.

Uszedłszy z milę od Berezyny zbieraliśmy się pod jakimś borem. Sam Napoleon rewidował tu pułki, które okropnie były przerzedzone nie tak w boju, jak zimą i mrozem. Widziałem go przedtem wiele razy, ale nigdy jak w onczas — i zawsze go tak widzę — miał szarą kapotę z rozporem w tyle, a na głowie lisiatą czapkę.

Odtąd rejterowaliśmy ciągle, oganiając się napaści.

Zmęczony mojem sztyganiem usiadłem sobie razu pewnego nad drogą, którą wojska nasze się cofały, a tu szczęśliwie nadchodzi wojsko nasze. Mija mnie każdy z litością spoglądając na mnie. Dopiero w tyle jadący oficer zbliża się do mnie. Był to pocziwy podporucznik Plantowski, z którym byłem razem w niewoli angielskiej.

„Toś ty ranny Daleki?“ odzywa się do mnie litośnie!

„Tak, Panie, w nogę pod Berezyną. Opuchła mi, obmarzła i ledwo iść z biedą mogę.“

„Siadaj na mego drugiego konia. Tylko się strzeż, żebyś się z nim nie dostał w ręce Moskiewskie. Trzymaj się naszej kompaniji fi-

zyljerskiej. Bo nie tak o konia mi idzie, jak raczej o te rzeczy, co na nim są. Wiozę bowiem śliczne płótno i drogie futro dla mojej żony.“

„Dobrze Panie, już ja się będę starał, żeby Panu nic nie zginęło.“ Wdrapałem się za pomocą innych na owego konia i jechałem kilka mil na nim. Niestety chciało, że przyszło nam maszerować jakąś wąską drogą między błotami. Zepchnięto mnie razem z koniem z owej drogi. Koń wpadł w oparzeliska, jeno mu trochę głowy i uszy było widać.

Mnie naprędce wywindowali żołnierze z owej biedy, a koń ze wszystkiem utonął. Przychodzimy na nocleg. Plantowski przybywa czempredź do mnie, i pyta się o konia i rzeczy swoje. Ja mu powiadam, co się stało z nim. Rozgniewał się na chwilę, ale zaraz się udobruchał.

Od Rygi zabiegli nam Moskale, aleśmy im się oparli i dobrześmy ich przetrzepali. Choć prawda, ja już się z nimi bić nie mogłem.

Na nocleg rozłożyliśmy się za borem. Śnieg był głęboki tak, żeśmy ledwie ogień rozniecili. Co to była za noc straszliwa! Zimno tak, że człowiek na dobre zębami dzwonił — a tu grzej się na roztopionym śniegu. A co to będzie jutro? Taż sama nędza, tylko może więcej napastników i więcej bólu. Moja

noga zaogniła się i nabrzmiała okrutnie. Płakałem z bólu jak dziecko, a łzy mi do twarzy przymarzły. Nie było się komu poskarżyć, ani kogo poradzić, bo każdy narzekał i prawie sam płakał. Ludzie w tem srogiem nieszczęściu byli bez czułości jedni dla drugich. I niedziw, bo każdy myślał tylko, aby w tym śniegu i mrozie nie zostać. Oj kiedy to człowiek widzi marną śmierć przed sobą, to najlepiej czuje jak to na nic mu się nie przydadzą ani pieniądze ani piękne rzeczy. Wszystko za nic wtenczas — prawdziwie tak jak nas księża nauczają, marnością to wszystko się widzi.

Pod Berezyną, żeby tylko życie uratować, widziałem jak kupami pieniądze wysypywano z bryk, tłomoki z rzeczami rzucono, aby co przetrwać z życiem ująć. —

Uchodząc przed nieprzyjacielem, spotkaliśmy furgon francuzki z pieniędzmi. Oficer stojący na furgonie z obawy, żeby go Moskale nie dostali, bo uciekać już nie mógł, gdyż konie zesłały, wołał na nas wyrzucając złoto i srebro abyśmy brali, co kto chce. Bralić inni, ale mnie się z bólu i złota już odechciało. Wtedy to niejeden się obłowił. Ja zaś szedłem dalej naprzód.

Razu jednego przyszlismy do jednej wsi, gdzie już było wiele Francuzów. Nas Polaków było tam czternastu rannych. Nie mogąc ni-

gdzie znaleźć przytułku, udaliśmy się za wieś na pole, skąd widać było bliski las olszowy. Tu rozłożyliśmy się myśląc jakby się ogrzać i posilić. Kilku z nas poszło pode wsią płot rozebrać na ogień, a ja powlokłem się do wsi, czy czego nie złowię. Chodzę i szukam na próżno, bo wszystko Francuzi wyjedli. Jużem wracał smutny, aż oto spostrzegam na jednym podwórku kaczkę w kąciku. Dalejże po nią — złapałem i niosę do swoich, którzy tymczasem ogień na śniegu rozpalili. Oskubawszy ona kaczkę wsadziłem do garnka i przystawiłem do ognia. Patrzymy na garnek wszyscy i połykamy ślinkę, aż tu od boru przybywa dwóch kozaków, którzy zbliżają się do nas i mówią:

„Wyście Polacy?“

„Tak jest, Polacy!“

„No, to paszoł prędko, bo wnet kozaki tu wpadną.“

Mowa ich była tak szczerą, że widziałem iż prawdę mówią. Pobieglem więc co żywo do wsi i ostrzegłem starszą. Wyśmiali się ze mnie. Ledwie wróciłem do swoich, aż tu istotnie od boru wypada jak rój szerszeni chmara kozaków. Porwaliśmy się wszyscy. Ja łap za kaczkę niedogotowaną i dalejże do wsi. Francuzi widząc, że to nie żarty, zaczęli się bronić, ale że byli nieprzygotowani, więc mocno ich przetrzepali. I dobrze im, mogli

mnie słuchać. Nas czternastu rannych nie zdążyło do wojska swego; staliśmy więc na ustroniu. Kozacy obok nas przelecieli, potem jeszcze kilka razy nas mijali, a żaden nic nam nie zrobił złego, choćby nas palcem był wywrócił tak byliśmy słabi, schorzali i znużeni. Przez cały czas kaczki nie puściłem z rąk, i dopiero nazajutrz, gdyśmy już byli blisko milej przez całą noc się cofnęli, i stanęliśmy w jednej wsi, którą wojsko całą zapaliło, upiekłem ją na dobre i zjadłem z kolegami.

Raz w marszu osłabiony i przeziębły zostałem trochę w tyle. Idę, idę jak mogę i przyszedłem do boru. Droga była od sanny tak ubita i szeroka że się szło jak po szkle. Nagle słyszę krzyk za górą blisko boru. Patrzę, a tu nasi uciekają przed kozakami. Niewiele myśląc buchnąłem się w kupę śniegu świeżo spadłego, tak aż mnie widać nie było. Kozacy przelecieli jak strzała obok mnie. Gdy się wszystko ucichło chcę wstać, a tu strętwiałem cały tak, że się ruszyć nie mogłem. Aleć przecie po długim mocowaniu się z sobą i ze śniegiem wylazłem z owęj biedy. Idę dalej. Jak zwykle tak i teraz czułem głód i zimno. Patrzę, a tu niedaleko od drogi na gołaźni między drzewami, widać resztki ognia. Ucieszyłem się zwłaszcza, że przy dogorywajcem ognisku ujrzałem dwóch Francuzów siedzących na śniegu i ob-

winiętych w płaszcze. Zbliżam się do nich i mówię: „Pozwólcie kamraci, niech się trochę ugrzeję!“

Oni nie odpowiadają. Ja trącam jednego po ramieniu, a ten się wywraca skostniały. Patrzę a tu i drugi martwy. Ach oni pomarli, nim ogień wygasł!

Gorzko westchnąłem nad losem tych nieszczęśliwych i nad biedą naszą, zmówiłem krótki pacierz za ich dusze i poszedłem dalej.

Przychodzę do jednej wsi, gdzie zastałem wielu naszych zgłodniałych tak jak ja.

„Nie macie co zjeść, bom ranny i głodny?“ mówię do nich.

„Nie mamy nic, i sami umieramy prawie z zimna i głodu!“

„Nie szukaliście we wsi?“

„Szukaliśmy, ale nic nie znaleźli.“ —

Idę więc ja szukać.

Bóg łaskawy był na mnie. Ledwom wszedł do pierwszego porządnego domu — był to pewnie pałac — znajduję pełno mąki w jednym pokoju. Wołam kolegów żeby mi zrobili ogień w piecu. W momencie był ogień, a ja zarobiłem ciasto i upiekłem w krótkim czasie każdemu po bochenku chleba.

Sam zaś pokrzepiwszy się wziąłem jeszcze bochenek z sobą, ale na nieszczęście, gdyśmy wchodzili do Wilna, cisnąc się jeden prawie

przez drugiego, bo Moskale na nas nacierali, urznął mi ktoś ów bochenek z tyłu i wziął. Ja w Wilnie do bochenka, a tu go nie ma.

W Wilnie tylkośmy trochę odpoczęli i ruszyliśmy dalej. — Ja za naszymi zdążyć nie mogłem. Już ciemno się zrobiło. Wszędzie pusto. Dokąd się tu udać na nocleg? Gdy tak stoję skłopotany, czy mi nie przyjdzie w śniegu przenocować i w nim zostać może na zawsze, słyszę nagle szczekanie psów. Zebrałem resztę sił i idę za onym psim głosem. Wnet ujrzałem jakieś migające się światelko.

Idę tedy i przychodzę nareszcie do dwóch chałup na pustkowiu. Wchodzę do jednej i zastaję dwóch chłopów i dwie kobiety. Proszę ich na miłosierdzie Boskie, aby mi dali na noc przytułek. Chłopi odpowiadają, że nie mogą mnie przenocować, bo dla kozaków u nich już zamówiona wieczerza. Proszę i błagam, pokazuję ranę w nodze, ale napróżno.

Wychodzę więc smutny i chcę iść do drugiej chałupy, ale jeszcze nie był za płot przełazł, gdy jedna z kobiet woła, bym się wrócił. Wróciłem. Wszedłszy podziękowałem dobrej kobiecie za litościwe serce i rzekłem: „Lubom ja głodny i schorzały, nie chcę wszelako nic od was, tylko proszę o mały kącik, gdziebym wypoczął do rana.“ Siadłem na ławie. Zaczynają mnie wypytywać, ale nam jakoś nie

szła rozmowa bo język Litwinów trochę odmienny od naszego. Posłano tedy po żyda arendarza do pobliskiej karczmy. Przybył arendarz, i gdy im opowiedział o mnie, com ja mu po polsku powiedział, odezwał się do mnie:

„Jeżeli masz pieniądze moskiewskie, to je zmień, bo dalej nikt ich nie przyjmie.“

Ja miałem wprowadzić w tornistrze pięć dziesiąt talarów i złoty zegarek, ale odrzekłem:

„Nie mam grosza przy duszy, bom taki słaby, że ledwo sam siebie dźwigać potrafię.“

Ażeby jednak żyda zaspokoić, sięgnąłem do kieszeni w płaszczu i dobyłem kłębek czerwonego jedwabiu, com go był znalazł na drodze.

Oddaję mu go mówiąc:

„Oto wszystko, co mam.“

Żyd chciał mi zań dać dwa złote, lecz ja na to:

„Co mi po pieniądzach! Daj to lepiej gospodarzom za ich dobroć ku mnie.“

Jeden z chłopów wziął one dwa złote i poszedł z żydem do karczmy. Niezadługo wrócił i przyniósł flachę gorzałki. Pili wszyscy i mnie częstowali, ale ja ani kropelki nie piłem. Zaraz też przyniesiono mi słomy, a jedna z kobiet zrobiła mi ciepłą polewkę z mleka. Posiliwszy się, ległem na owęj słomie, kładąc tornister pod głowę, niespokojny czy rana do-

czekam, bo ów żyd i kozacy stali mi ciągle na myśli. Westchnąłem do Boga i zasnąłem twardo jak kamień. Na świtaniu zbudził mnie gospodarz. Dano mi znowu ciepłe śniadanie i nalegano, żebym się wynosił co prędzej. Spieszenie więc rzuciłem tornister na plecy i w dalszą ruszyłem drogę.

Pocziwy gospodarz wyprowadził mnie za karczmę na uitorowany gościniec i kazał iść prosto. Ja mu serdecznie podziękowałem za nocleg i szedłem dalej.

Uszedłszy z mileczkę, usiadłem na śniegu. Zdejmuje tornister i patrzę, a tu rzemyki od mantelzaka poprzerzynane. Łzy mi się w oczach pokręciły i pomyślałem sobie: „Mój Boże, wartoż było włóczyć ten ciężar z sobą, żeby mnie tu go skradli nareszcie?“ Zaglądam do tornistra, wszystko poprzewracane. „Pewnie to, myślę sobie, kara Boża za to, żem skłamał i powiedział, że nic nie mam a miałem. Już się teraz nie będę miał za co w méj biedzie ratować! Dwie pary trzewików i trochę bielezny zostało — widać, że tego nie chcieli. Lecz pieniądze i zegarek pewno zabrali!“ Patrzę w on kącik tornistra, aleć przecie Bogu dzięki jest wszystko. Powstałem nagle z radości i szedłem dalej wysławiając Boską Opatrzność.

Blisko granicy litewskiej przez którąśmy mieli wchodzić do Prus, nadszedłem także już

ciemno w wieczór do jednej wsi, w którejśmy idąc do Moskwy rasztakowali¹⁾). Spieszę więc do tego samego domu, gdzie miał wówczas kwaterę. Zastaję w izbie dwie kobiety. Proszę je o nocleg, — one się wymawiają. Ja jednak osłabiony nie pytam się dalej, tylko siadam za stołem. Wtem przychodzi chłop i zaczyna krzyczeć na mnie. Ja go proszę, żeby miał litość nademną, a on bierze mi tornister, którym był złożył na stole, i wyrzuca oknem na dwór w śnieg. Darmo, trzeba było iść za swemi rzeczami. Wyszedłem więc z ciepłej izby — zapłakałem sobie na prawdę nad takim twardestwem sercem. Wziąłem tornister, i idę dalej na Opatrzność Boską. Zdala widzę jasne światło w jednej chałupie. Wchodzę, a tu karczma, a w niej pełno naszych oficerów. Pozezuwali buty i grzeją obziębłe nogi przy kominie. Zbliżyłem się też i ja do ognia. Wtem jeden z Francuzów pyta mnie się, co mi jest w nogę? „Rannym Panie“ odpowiedziałem mu. Kazał sobie nogę pokazać. Zaczął nad nią głową kiwać, ale wnet wyciągnął z swego tłumoczek lekarstwo, nasmarował mi niem, przywinał aż miło, a nadto dał mi jeszcze kieliszek mały wódki. Był to doktor francuzki.

Ja buchnąłem się na ławę między drugich,

¹⁾ To jest wypoczywali w marszu.

i tak szczęśliwie pod dachem przenocowałem. Nazajutrz ów poczciwy doktor wziął mnie na swoje sanki, i wiozł mnie kilka mil, aż się złączyłem z moją kompaniją. Już nie Zdzitowiecki, lecz niejaki Swierczakiewicz był naszym kapitanem, a pułkownikiem pewnie Cichowski, który z nami szedł do Rossyji pod dowództwem jenerała Żyro. Z kompaniją swoją szedłem dalej choć kulawy aż do Kwidzyna. Nigdzie nas nieprzyjaciel nie zaczepił. Z Kwidzyna poczciwy kapitan, widząc jak mnie noga boli, zabrał mnie ze sobą do Poznania, dokąd i cała kompanija pospieszyła za nami. W Poznaniu nie było czasu leczyć się na nogę, bo codziennie spodziewaliśmy się nieprzyjaciela. Z Poznania udaliśmy się do Kistrzyna. Po drodze pełno już było Moskali, z którymi się pod Międzyrzeczem nasi ułani ucierali. My kręciliśmy się odtąd wszędzie. Przyszliśmy do Berlina, a tu miasto nie chce nas przyjąć ani wpuścić. Przybywamy do Poczdamu — tak samo nam robią. Jużemy tu nawet armaty wytoczyli by walić do miasta, aleć dano pokój, bo dosyć my mieli nieprzyjaciół w polu. Żeby mieć gdzie się oprzeć nieprzyjacielowi, ruszyliśmy potem do Szpandau, i tuśmy się zamknęli. — Mogło nas być ze cztery tysiące. Dobywali nas tu Prusacy i Moskale przez dwanaście niedziel, a nie mogli nam nic zrobić. Dopiero zaczęli bomby

puszczać. Spalili nam tak wszystkie magazyny, nawet prochownią wysadzili w powietrze, przy czem mnóstwo naszych żołnierzy zginęło. Wiedząc, że się utrzymać nie zdołamy, poddaliśmy się wreszcie. Złożywszy wszystkie ładunki, wyszliśmy z bronią z Szpandau, ale pod konwojem ułanów moskiewskich, konopolskimi zwanymi, a pruska piechota postępowała za nami o jeden marsz.

W Braunszweig¹⁾ oddał nas ów konwój Francuzom, których tam było czternaście tysięcy, a którzy odchodzący ów nasz konwój ślicznie z tyłu pożegnali ogniem armatnim tak, że zmykali co siła. Odpocząwszy dziewięć dni w Braunszweig, poszliśmy do Hessen-Kassel, a stąd do Erfurtu. Tu zabawiliśmy przydłuższy czas, albowiem mieliśmy strzedz, żeby nam nieprzyjaciół tyłu nie zabrał od granicy francuskiej. —

Moja noga okrutnie mi obolała. I nie dziw, bo od Berezyny gdzie byłem w nią ranny wśród mrozów, śniegów i ustawicznych marszów, raz tylko była w Litwie opatrzoną przez doktora. Poszedłem w Erfurcie do lazaretu. Gdy ją doktorzy zobaczyli, koniecznie chcieli mi ją upiłować, bo już tak źle było z nią. Obmarzła, rozogniła się tak, że już ciało

¹⁾ Brunświk.

na niej psuć się poczynalo. Ja nie pozwoliłem jej sobie urzynać, tytkom żartując z doktorów odezwał się:

„Gdzieżbym ja na sądzie ostatecznym szukał nogi? Mam ja do domu bez nogi wrócić? Wolę niech mi kula armatnia urwie, ale ucinąć nie dam.“ — Udawałem zucha, ale ból cierpiałem wielki, a owemi żartami chciałem doktorom tylko pokazać, że tak źle jeszcze ze mną nie jest. Zaczęli mi ją gojić. Nie życzę największemu nieprzyjacielowi takich leków. Bogu dzięki jednak wygojili mnie. A chociaż dziś jeszcze każdą słotę mi ona przepowiada, dosyć żem w onczas mógł dobrze się znowu bić, a i dziś szczudła nie potrzebuję.

Pod Witebergiem¹⁾ nad Elbą jużem się znowu bił dobrze. Takeśmy już byli słabi, że z naszych trzech pułków²⁾ zrobiono tylko pułk jeden. Moskale i Prusacy mieli tu piękny obóz, nawet się okopali od strony miasta. My jednak w nocy na nich uderzyli i takeśmy wpadli na nich niespodzianie, że brano oficerów w koszulach, który klęcząc wołali pardonu. Zrobił się popłoch. Wszystko zmykało, co żywo. Noc była ciemna — wtedy się tylko rozjaśniało, gdy ognia dawano. Gnałiśmy ich

1) Wittenberg.

2) Z czwartego, siódmego i dziewiątego.

owej nocy ciągle aż do rana. Gdy świtać poczęło, dopiero spostrzegli, że nas tylko garstka. Dalejże tedy na nasze karki! Na górze za bo-rem mieli zatoczone armaty w dobrej pozycji. Jak więc zaczną grzmocić i prażyć, a potem jak natrą na nas — to aż skóra dziś cierpnie na człowieku, gdy sobie wspomni! Radzi nie- radzi musieliśmy się cofać, ciągle się broniąc. Dopiero gdyśmy się zbliżyli do naszego obozu, zaniechali pogoni, a my połączeni ze swymi odpoczęliśmy dni kilka.

Odtąd ucieraliśmy się na różnych miejscach z nieprzyjacielem przez kilka niedziel, aż na- reszcie zwaliliśmy się wszyscy pod Lipsk.

Pod Lipskiem taka była batalija, jakiej może świat nie pamięta. Co tam było różnego narodu, to ciężko wypowiedzieć. Taki zaś był huk, że wszystko drżało i wszystko się trzęsło, nawet ziemia z człowiekiem. Jęki padających, świstanie kul, huk armat, odgłos trąb ciągłych i ustawiczne komenderowanie — wszystko to przypominało ów straszny sądny dzień.

Pierwszego dnia biliśmy się zajadle. Nikt nas zganić nie może. I na flankierach i ogniu plutonowym, i w kolumnach się bijąc i na ba- gnety idąc wszędzieśmy byli górą.

Już mogło być dobrze po południu, gdy do nas wołytyżerów przyjechał konno Napoleon ze swoją świtą i kazał nam zabrać dwie ar-

maty, co nam bardzo szkodziły, i uderzyć na flankierów moskiewskich. Był w pobliżu lasek olszowy i rów głęboki poczęści wodą napełniony, a może z pół staja za rowem stały owe dwie armaty. Z lasku i z rowu, gdzie się osadziły jegry moskiewskie, okropnie nas prażyli, a armaty byłyby nas w naszej pozycji do szczeru zniosły. Wyparować więc ich trzeba było koniecznie, a armaty zabrać. Ruszyły przeto dwie nasze kompanije na komendę samego Napoleona. Po zaciętej utarczce wyparliśmy najprzód z rowu Moskali, a sami brodząc w wodzie usadowiliśmy się w nim. Gdy wystrzelili z armat owych, my co ducha z rowu i dalej na nie! Nie pozwoliliśmy już im nabić powtórnie, tylko jak zaczęliśmy rąbać kanonierów i oddział piechoty przy nich będący brać na bagnety, to owe Moskaliska aż ręce załamywały wołając pardonu.

Wzięliśmy ich do niewoli, a armaty z radością prowadzimy do naszych. Ale że przez ów rów niepodobna ich było przedostać, skreśliśmy się więc z niemi na bok Lipska, gdzie stała wieś duża. Stu naszych chciało je tamtędy przeprowadzić, a reszta wróciła do swoich zaraz. Gdyśmy już byli blisko owej wsi, a tu wypadają Prusacy, których tam było trzy tysiące, a my o tem nie wiedzieli — i dalej na nas. Zostawiliśmy armaty zdobyte, a każdy

ratował się ze życiem. Prusacy puścili się w po-
gon za nami. My im się dobrze odcinali, ale
oni silniejsi liczbą parli nas ku naszym, — do
onego rowu. Tu o małym nie zginął. Skoczy-
łem bowiem w rów, by przejść na drugą stro-
nę, a tu huzar stoi na brzegu i pali do mnie
jakby do psa o dwa kroki. Chciał mnie trafić
w głowę, lecz kula urwała mi tylko kawałek
ucha. Ja choć ogłuszony i krwią zalany pal-
nałem ze sztucera wyszedłszy z rowu, i zabi-
łem na miejscu szwernuta. Jeszcze i dwóch
innych uśmiercił ratując siebie, poczem dosta-
łem się szczęśliwie do swoich.

Przybywszy na plac boju, gdy już się
ziemniac zaczęło, ujrzałem obok siebie więcej
umarłych jak żywych. Ale ranę moję podwią-
załem chustką, i biję się dalej, i dobrze mi się
biło, bom nie słyszał tak bardzo huku. Wtém
przybywa adjutant od sztabu do naszego ka-
pitana Świerczakiewicza i pyta go się: „Kto
pierwszy z kompaniji dopadł owych dwóch
armat?“

Mógłem to słyszeć, bom był blisko kapi-
tana. On wymienił między innymi pewno i mnie,
gdyż nie upłynęło może ani dwóch godzin, a tu
przybywa tenże sam adjutant i oddaje kapita-
nowi naszemu jakieś pisma. Wkrótce zbliża
się do mnie nasz kapitan i oddaje mi pismo
mówiąc: „Daleki, tu masz pismo na krzyż;

schowaj je dobrze, a jak się tylko trochę uskromimy, to go dostaniesz.“

Wziąłem owo pismo i włożyłem w kaszkiet z radością, i biję się dalej. Ale wnet uczulem wskutek rany mojej tak okropne rwanie i szum w głowie, iż prawie przytomność traciłem. Idę więc trochę odpocząć do miasta samego Lipska. Przychodzę na rynek, a tu zastaję na placu pod gołym niebem tysiące rannych i kalek. Położyłem się przy nich na bruku, drżąc od bólu i zimna. Gdy tak leżę na rynku pod murem jednej kamienicy, słyszę nagle jak ogromnie ostro rozmawiają z sobą na balkonie Napoleon i król Saski. Ale nie mogłem ich rozumieć, bom był prawie głuchy.

Około północy felczer opatrzył mi ranę i obwiązał lepij głowę.

Nazajutrz wcześniej już wrzała znowu bitwa. Z jednej strony Lipska walczył książę Józef Poniatowski, dalej na różnych punktach Francuzi. Mnie kazano roznosić ładunki, lecz mi się to wkrótce sprzykrzyło, bo pomyślałem sobie: kiedy już zginąć, to zginąć z bronią w ręku. — Poszedłem więc do swoich i bić się razem z nimi.

Przed wieczorem, nie wiem która mogła być godzina, mosty pozrywano i Francuzi rejterować poczęli. Oparliśmy się o pół mili z drugiej strony Lipska, pod wodnemi młynami.

mi. Zaczęto właśnie obliczać nasze straty, gdy nagle odebraliśmy wiadomość, że ksiązę Józef Poniatowski utonął. My biedni Polacy spuściliśmy głowy, bo każdy żałował tak dobrego wodza.

„Oj źle — mówiliśmy sobie — kiedy już tacy giną!“

Ciągle rejterując, a bijąc się prawie ustawicznie przyszlismy do *Frankfurtu*¹⁾, później do *Mainc*²⁾ nad rzekę Ren.

Najpierw się gwardyje Napoleońskie przeprawiły, za niemi armaty i bryki, a my zdążyli do wody jak mogli. Wtem widzimy, że niektórzy nasi od bryk pędzą ku nam przerażeni. Wtem wpadają zaraz na nas Moskale, Prusacy, z przeciwnéj strony cesarska³⁾ konnica, nawet i Szwedów widzieliśmy. Tak obkoczeni uszykowaliśmy się czempredziej do boju, i biliśmy się z rozpaczą prawie, póki ładunków i sił starczyło. Pod wieczór już było niepodobieństwem dalej się bronić, bo nam przybrało ładunków i sił, a nieprzyjacielowi coraz więcej przybywało wojska na pomoc. Zginęło nas dużo, i bylibyśmy pewno wszyscy zginęli, gdybyśmy się nie byli poddali, a śmierć nasza téżby Francuzom nie była pomogła. Zażądaliśmy tedy pardonu. Dano nam go, i zabrano

1) Nad Menem. 2) Moguncyja. 3) Austryjacka.

nas w niewolę, rozdzieliwszy nas jeńców na trzy oddziały. Jeden zabrali Moskale, drugi Prusacy, a trzeci oddział zabranych, do którego ja należałem, dostał się w niewolę do Cesarza (to jest austryjacką).

Niewola Austryjacka.

Niewola w Hiszpaniji ciągle mi stała przed oczami, gdy nas prowadzono przed generała austryjackiego od konnicy. Już wtedy było zimno, bo widzieliśmy białe szron na ziemi i śliwki pod drzewami, co już same były pospadały. Nawiększą przeto mieliśmy obawę, aby nas do naga nie obdarto jak w Hiszpaniji. Tam przynajmniej było ciepło, a tu byliśmy z zimna pokarkli. Gdyśmy stanęli przed generałem, pokłękaliśmy wszyscy błagając, żeby nas obdzierać nie kazał. On mruknął sobie pod nosem jakąś kłatwę na nas, a potem powiedział: „Ist schon

gut," to jest: Już dobrze. — Ale wnet zaczęto nas rewidować. Odebrali nam chustki, fajki, zegarki i inne rzeczy. Przynajmniej zostawiono nam mundury, ale je wprzód obmacali wszędzie, kazali nam się rozbierać, a szukali pod pachą, w trzewikach, w spodniach pieniędzy, a co znaleźli to zabrali. Mnie wzięli niejedną rzecz drogą, ale najwięcej żał mi było, że mi wzięli kaszkiet, a z nim i owo pismo na krzyż, którem był dostał w bitwie pod Lipskiem. Prosiłem ich bardzo o nie, ale mi go dać nie chcieli. Jednego talara, gdy mnie rewidowano, ukryłem w ręce, ścisnąwszy dłoń i podniósłszy rękę, a w niej talara do góry.

Noc spędziliśmy na dworze pod wsią. Leżeliśmy jak bydło, pod jakimś płotem z agrestu i berberysu, bom czuł kolce, a widział rano czerwone jagody. Ileśmy ucierpieli téj nocy od zimna, darmo opowiadać.

Nad ranem wpędzili nas do jakiejś izby ogrzanej. Żołnierze stali u drzwi na straży. Tu o małym nie zginął marnie. Dostawszy się bowiem z zimna do ciepłej izby, taka mnie opadła niemoc, że myślałem, iż zostanę na miejscu. Zeby więc zaczerpnąć świeżego powietrza, spieszę do drzwi, a tu żołnierz jak mnie uderzy bagnetem w piersi, padłem przez próg i zemdlałem. On myślał że chcę uciekać. Szczęściem, że bagnet ślizgnął się po guzikach

od mego munduru, inaczej byłby mnie przeszył. Przyszedłszy do siebie uczulem ból w piersiach, i ujrzałem lekką ranę, która się jednak snadno zagojiła. To mnie jednak najwięcej bolało, że uniknąwszy kuli w tyłu bitwach, teraz jako więzień w taką dostałem się poniewierkę, że mnie lada żołdak gburowaty popychał i szturchał.

Kazano nas potem transportować do cesarskich krajów. My bojąc się o naszą odzież prosiliśmy znów owego generała, aby nam był łaskaw dać marszrutę z wyraźnem poleceniem, żeby nas nigdzie nie obdzierano. Dostaliśmy ją. Tak tedy ruszyliśmy do niewoli, ale dokąd nas poprowadzą, tego nam nie powiedzieli.

Pod mocną strażą przeszliśmy cały kraj Bajerski¹⁾. Kto zna jak gorzki chleb niewolnika, ten nie będzie się dziwił, że miłe zachowałem wspomnienie o tym kraju. Kilka razy się bowiem zdarzyło, że gdyśmy głodni i strudzeni przybyli do jakiego miasta na nocleg, obywatele dowiedziawszy się cośmy za jedni, brali nas dobrowolnie za pozwoleniem straży naszej do siebie na kwatery. Tu człowiek dostał wybornego jadła i picia, przespał się wygodnie i na chwilę zapomniiał o biedzie. Czasem dawali nam i parę groszy na drogę. Rano

¹⁾ Bawarski.

przyprowadzili nas do naszej straży i oddawali nas jéj, a my ruszaliśmy dalej nie wiedząc, co się z nami stanie. Niechże Bóg miłosierny tym chrześcijańskim duszom ich uczynność i dobroć nagrodzić raczy, jeśli nie w tem, to w przyszłym życiu! O Bajerach nie mogę tylko dobrze myśleć i mówić. —

Przyprowadzono nas później do miasta Czeskiego *Jeger*¹⁾, które jest małą forteczką. Stąd zaprowadzono nas do Pragi²⁾, gdzieśmy sześć dni i tyleż nocy bawili. Rozkwaterowano nas po różnych miejscach. Siedmiu nas, to jest czterech Polaków i trzech Litwinów zamknięto w jakichś ogromnych stajniach, gdzieśmy prosto na gnoju siedzieli, nudząc się okropnie i cierpiąc wszelaki niedostatek. Nikogośmy nie widywali prócz jednego Niemczyka, który trochę kiepsko mówił po polsku, a który codzień przychodził lampy zapalać i gasić, dla czegośmy go téż lampierzem, a czasem lamparzem nazywali.

Ja raz odzywam się do niego z narzekaniem, żeśmy tak bezczynni i nieszczęśliwi. A on mi na to:

„Kto ma Geld, może sobie pomódz.“

„A skądże mieć pieniądze, rzekłem, kiedy

1) Eger po czesku: Cheb.

2) Praga stolica Czech.

wasi ze wszystkiego nas obdarli, i tylko nam tę biedną odzież zostawili?“

To rzekłszy, poszedłem do moich kamratów, którzy nieco dalej na słomie leżeli. Jeden z nich mnie pyta: „Cóżes ty gadał z tym lampartem?“

Powiedziałem im jak było.

— „Idź Jędrzeju, rzekł jeden z Litwinów, i spytaj ile on żąda za nasze uwolnienie?“ —

„A skądże weźmiemy pieniądze? Ja już nie mam ani grosza przy duszy,“ odpowiadam mu.

„O to nie pytaj! Ja mam zaszyte w mundurze i za was wszystkich zapłacę.“

Pobiegłem więc do lampierza, który zdawał się czekać u drzwi na mnie, i pocichu odzywam się do niego:

„Tyś pewnie poczciwy człowiek, ulituj się nad naszą biedą. Lata całe biliśmy się po różnych krajach, ucierpieliśmy wiele, a dziś tak jęczymy w niewoli! Dopomóż nam do ucieczki, a my ci zapłacimy.“

„A co mi dacie?“

„Dalibyśmy ci wiele, aleśmy biedni. Co możemy to ci damy. Dostaniesz po trzy talary za każdego z nas, skoro nas oswobodzisz.“

„Gut“ odpowiedział niemczyk.

Tój samój nocy obiecał nas oswobodzić i to zaraz z wieczora, abyśmy przez noc całą

mogli spory kawał drogi zrobić. Wieczór był ciemny, i wicher szumiał jesienny. My słuchamy, rychło się drzwi otworzą i przyjdzie Niemczyk a tu go nie widać. Bije godzina dziewiąta, a tu go niema. Słyszymy dziesiątą, on jeszcze nie przychodzi. Strach nas, czy Niemiec nas nie zdradził. Aleć nie. Wkrótce bowiem przybył i zabrał nas z sobą. Najpierw otworzył jakieś drzwi, co się zdawały zamurowane — potem prowadził nas przez jakieś sklepienia i gmachy, aż nareszcie wyszliśmy pod gołe niebo.

„A dokąd teraz?“ pytamy.

„Musicie najpierw, odrzekł, do mego domu się udać, gdzie zanocujecie, boć nie wiecie drogi, łatwobyście więc wpadli w ręce straży. Jutro wczas wskażę wam dalszą drogę.“

Noc była ciemna. Usłuchaliśmy jego rady. Szliśmy przez długi most, na którym stała figura św. Jana Nepomucena, a mimawszy wiele ulic i kątów, dostaliśmy się nareszcie do domu naszego przewodnika. Wprowadził nas do izby, kazał nagotować kapusty i kartofli, ale wpiertw żądał od nas obiecaną zapłatę. Litwin wyliczył mu należytość, poczem zjadłszy wieczerzę, udaliśmy się na spoczynek, ciesząc się żeśmy wolni. Nad ranem budzę mego sąsiada i mówię: „Coś nasz gospodarz zasnął, bo dotąd nie przybywa!“ Ale sąsiad przewrócił się na

drugi bok i chrapi w najlepsze. Ja trochę nie-
spokojny wstaję i chcę drzwi otworzyć, a tu
drzwi zaryglowane. Budzę czempredzėj kole-
gów i powiadam, żeśmy na rygiel zamknięci.
Zaczynamy się wszyscy lękać, aleśmy się wre-
szcie na to zgodzili, iż pewnie gospodarz przez
ostrożność nas zamknął, żeby nas przypadkiem
nie odkryto. Już się dzień był zrobił — na
ulicy słyhać hałas i turkot, a my czekamy
i czekamy, a gospodarza jak niema tak niema.

„Żle z nami, mówię, — mnie dusza coś
przepowiada, że to nie dobrze będzie z nami.“

„Co tu robić? mówią inni, — drzwi wy-
sadzić lub wołać o ratunek i wyznać, że zdrajca
nas oszukał?“

„Ale może on niewinny, odrzekłem da-
lój, — któż wie co go zatrzymało? Może to
na nasze dobre, że on tak długo nie przy-
chodzi?“

Radzi nieradzi więc czekamy, siedząc zam-
knięci cicho jak ptaszki przełęknione w klatce.

Co ja miałem wtenczas do słuchania, to
niech Pan Bóg broni. Wszyscy mi wyrzucali,
że to moja sprawka, że lichu mnie skusiło do
tój ucieczki. Ja spuściłem głowę i milczałem
trochę, a potem odezwałem się do kolegów:
„Kto wie czy mi nie będziecie dziękować za
tę sprawkę! Nie trzeba ludzi naprzód źle są-
dzić.“ Uspokojili się nieco. Wtem téż skrzy-

pnął zamek i drzwi się do naszój izby otwarły. Zrywamy się wszyscy jak oparzeni, witając z radością naszego lampierza. Ale jakież było nasze zdziwienie, gdyśmy za nim we drzwiach ujrzeni wartę. Nim który z nas zdołał usta otworzyć, już lampierz zawołał:

„Jesteście dezertery i jako takich na policyji was zameldowałem!”

„Dobrze, mówię, mój niemcze, ale i tobie na sucho to nie ujdzie, boś ty pierwszy podał myśl do ucieczki — wzięłeś pieniądze a teraz nas tak haniebnie zdradziłeś. Podłym jest każdy zdrajca a więc i ty. Ale poczekaj, niech nas spotka teraz co chce, my powiemy coś za ptaszek!”

On krzyknął na wartę i kazał nas wyprowadzić. Z wielkim strachem przyszlismy znowu przed owę stajnię. Tu zastaliśmy jakiegoś oficera, który wyprawiał jeden z naszych oddziałów do Cieszyna. My więc padamy na kolana i prosimy, żeby się zlitował nad nami i pozwolił nam iść społem. Widać, że lampierz miał strach okropny, żebyśmy go nie oskarżyli, bo sam prosił bardzo za nami. Oficer, jakaś pocziwa dusza, przystał na naszą prośbę.

Wszystcyśmy więc razem wyszli z miasta nader szczęśliwi, że nam tak uszło na sucho, tylko ów pocziwy Litwin żałował swych dwudziestu jeden talarów, które za nas zapłacił.

Stósownie do marszruty naszej szliśmy przez Morawy do Szląska, to jest przez miasta Berno i Ołomuniec do Cieszyna. Wtym marszu dużośmy biedy zażyli. Cesarscy srogo się z nami obchodzili. Raz tylko na dzień trochę nam zupy dawano, chleba i mięsa nigdy. Takeśmy też byli głodni, żeśmy w drodze brali z pola główki surowej kapusty i ćwikły i gryźliśmy po trosze, by głód zaspokojć jakokolwiek.

Pamiętam jednakże, iż raz przecie w Morawach dobrzem się pożywił i uraczył. Dnia jednego bowiem przyszlśmy do jakiejś wsi na nocleg. Zaprowadzono nas do majątnego gospodarza, który miał rozległe i porządne budynki. Widać też było u niego dostatek wszystkiego. Przyszedłszy z drogi usiedliśmy na ławce przed domem. Było to w sam dzień Świętej Katarzyny. Siedzimy na dworze zmęczeni i głodni. Zębami szczękamy z zimna, a nikt nam nic nie daje, ani do izby nie prosi ciepłej.

Gdybyśmy byli wolni, bylibyśmy sami weszli choć i gwałtem, ale w niewoli woli człowiek cierpieć, aniżeli się prosić, a za to być jeszcze może sponiewieranym. W izbie światło zapalili, bo już się zaczęło zmierzchać.

Zbliżam się do okna i patrzę. Co za miły widok! . . . Na wielkim stole, na białych obru-

sach zastawione rozliczne jadło i picie. Były tam różne ciasta i pieczenie, a we flaszkach piwo i wino. —

Polknąłem ślinkę, i oblizałem się kilka razy, ale chcąc uniknąć niepotrzebnej oskomy, wróciłem na ławkę do swoich kolegów i powiadam im, com widział. Jeszczem nie był skończył mego opowiadania, gdy przybyło kilku sąsiadów, czy przyjaciół, śnać zaproszonych. Weszli do izby, a my jak siedzimy tak siedzimy. Aliści wychodzi sama gospodyni i mówi do mnie:

„Sem, paneczku, dziś święto mojej patronki, prosimy was wszystkich do kompaniji.“

O anielska kobieto, pomyślałem sobie, tego nam dwa razy nie powiadaj! —

Stanęliśmy wszyscy jakby do ataku. Każdy z nas, choć biedą przygnieciony, wyprykował się jak mógł, i wpakowaliśmy się do izby. Trzeba było widzieć nasze miny i wesołe twarze! Każdy z nas ostrzył zęby, a wdzięcznie się uśmiechał do nakrytego stołu i wása pokrecał, a niecierpliwił się, że jeszcze nie może jeść. Gospodarz bowiem wprzód wypytał się każdego z nas, skąd jesteśmy, cośmy za jedni, gdzieśmy się bili. Gdy się o wszystkim od nas dowiedział, prezentował nas swoim gościom, a dopiero potem posadził za stołem. Jedliśmy i pili do upadłego. Bawiliśmy się

gracko do północy, bo każdy z nas miał co opowiadać, a przy dobrym apetycie jakoś i pamięć się odświeżyła i rozum zaostrzył. Zapomnieliśmy wonczas, żeśmy w niewoli.

Gdy goście się rozeszli, nam przyniesiono słomy, a dobrze utraktowani spaliśmy słodko aż do rana.

Pocziwi Morawianie! Niech im Pan Bóg we wszystkim za to błogosławi. Ale są prawda i źli ludzie między nimi.

I tak gdyśmy się zbliżali do Cieszyna, dużo nam się naurągali. Mianowicie już blisko samego miasta, dokąd jechali właśnie na jarmark, drwili z nas głupcy i z upadku Napoleona wołając na nas z przekąsem:

„No głupie Polaki, gdzie teraz macie waszego boha?“

Oj pomyślałem sobie, jużście widać zapomnieli, jak wam skórę wygarbował! Dziś jesteście wielkie zuchy, ale coby to było, gdyby się znowu pokazał! —

W Cieszynie zabawiliśmy niedługo, a stamtąd transportowali nas na Podgórze, stąd zaś do Krakowa.

W Krakowie był wonczas gubernatorem Płatów rosyjski generał, bo Moskali było dużo w Krakowie. Ze strachem weszliśmy do miasta, bośmy się lękali, czy Moskale nie będą nas znów poniewierać.

Stawieni przed jenerała i wyegzaminowani, oddaliśmy nasze papiery. On kazał nam odejść i czekać — my też cztery dni czekali. Ale Bogu dzięki obchodzono się z nami po ludzku. Traktowali nas jako zasłużonych żołnierzy, co to powąchali prochu nieraz, i pod gradem kul niejednym byli. Wyznaczyli nam wygodne mieszkania w koszarach i dawali nam racyje chleba i mięsa jak swoim.

Czwartego dnia wołają nas do gubernatora. Idziemy z wielkim strachem, co to będzie z nami? A tu jenerał odzywa się do nas łagodnie: „Dzieci pójdziecie do domu,“ — i oddaje nam nowe marszruty. My podziękowaliśmy za łaskę najpierw, a potem poszliśmy do miasta pożegnać się nawzajem.

Oslupiałem prawdziwie w pierwszej chwili, gdym usłyszał te wyrazy „do domu,“ bośmy myśleli wszyscy, że nas gdzie zgnoją Moskale w niewoli, i że już nigdy swoich nie ujrzymy. To słówko „do domu“ ciągle mi brzmiało w uszach. Nie wiedziałem czy się mam cieszyć, czy płakać, bo do obojga byłem gotowy. Czułem się wolnym, a jednak chodząc po ulicach Krakowa, zdawało mi się ciągle, że ktoś z nabitą bronią za mną chodzi.

A dopiero pożegnanie nasze było bardzo rzewne. Serce nam prawie pękało od żalu, gdyśmy się rozstawali. Niektórzy bowiem z tych

towarzyszów niewoli byli zemną w Hiszpaniji. W obcym kraju kochaliśmy się jak bracia. Jeden drugiego wspierał jak mógł w każdej potrzebie. A teraz mieliśmy się rozstać na zawsze, i to jako zwyciężeni, niewolnicy, — my którzyśmy tyle razy zwyciężyli!

A więc, mówiliśmy do siebie, więc wszystko się skończyło? . . . Ach jaki smutny koniec! — Żal się Boże, po tylu latach cierpień, niedoli i poniewierki widzieć się samotnym i opuszczonym na świecie, i jako żebrak i kaleka wracać do swoich!

Powrót do domu.

Po owém smutném pożegnaniu ruszyliśmy każdy w swą stronę. Ja w starém płaszczyku francuzkiem, z torbą na plecach i z kijem w rękę, jako biedny pielgrzym szedłem na Częstochowę. Radowało się serce moje, że tu będę mógł przynajmniej podziękować Najświętszej Pannie za świętą jój opiekę nademną, której się zawsze polecałem, nosząc od pierwszej młodości szkaplerz.

Gdym ujrzał zdala wysoką wieżę tego cudownego miejsca na Jasnej Górze, ucieszyłem się bardzo i ruszyłem prędkim krokiem, jakby

mnie coś unosiło. Boć też chciałem się po tylu latach szczerze wypowiadać i z Bogiem pojednać. —

Przybyłem do Starój Częstochowy, miasteczka u stóp Jasnej Góry położonego, jeszcze przedwieczorem. Czempredzój biegnę na owo miejsce cudami słynące. Ale jeszcze w Starój Częstochowie będąc spotykam człowieka i pytam go, czy będę mógł teraz oglądać cudowny Obraz Matki Boskiej Częstochowskiej?

— „O nie! odpowiada mi tenże: cały klasztor pełen jest wojska rosyjskiego. Załoga ta nikogo nie wpuszcza do klasztoru!“

„Ale mam marszrutę od rosyjskiego generała z Krakowa, odrzekłem. Będą więc widzieli, kto jestem.“

„Moskale nie patrzą na pismo, bo u kozaka pismo nic nie znaczy, jeno bat. — Może żołnierza jeszcze sponiewierają.“

Na taką odpowiedź, mało myśląc ukląknę pod gołym niebem oddałem zdalą pokłon Najświętszej Pannie, zmówiłem pobożny pacierz na Jój cześć i miękko mi się jakoś zrobiło na sercu, i łzy mi z oczu jak groch na ziemię padać poczęły.

Tysiące tysięcy, pomyślałem sobie, spiesz tu do téj Królowej naszej, Pani nieba i ziemi, i odchodzą pocieszeni, a ja nieszczęśliwy tułacz pociechy téj doznać nie mogę!

Powstałem i poszedłem na nocleg do Starój Częstochowy.

Nazajutrz wstawszy rychło i pokrzepiwszy się nieco, ruszyłem dalej ku granicy.

Za miastem, gdy już i Jasna Góra i klasztor cudowny na nią znikać mi począł z przed oczu, upadłem na otwartem polu jeszcze raz na kolana, oddałem pokłon Najświętszej Pannie i podziękowałem jej serdecznie jeszcze raz za opiekę nademną podczas tylu lat méj żołnierki.

Przebywszy granicę zaszedłem do Odolanowa¹⁾, stąd do Kobyлина, a z Kobyлина szedłem do Kołaczkowic, miejsca mego urodzenia.

W samo Święto Najświętszej Panny Gromnicznej, gdy ludzie szli z kościoła po nabożeństwie, stanąłem w Dłoni, gdzie miałem brata. Nie wiedziałem, gdzie są moi, czy żyją jeszcze lub nie; wstąpiłem więc do gościńca, aby się dowiedzieć. Krzepiąc ciało moje posiłkiem, nie daję się zaraz poznać gościnnemu, z którym się niegdyś dobrze znałem: ale wypytuję się o tego i owego. Gościnnego zdziwiło to, że ja obcy tylu ludzi we wsi znam. Pyta mnie więc, com za jeden i dokąd idę. Nie chcąc kłamać, dałem mu się poznać. Mile mnie przywitał i posłał zaraz po brata mego, który tamże był borowym.

¹⁾ Miasteczko w Wielkiem Księstwie Poznańskiem nad granicą Szląską.

Przyszedeł brat, ja powstałem i chciałem mu się rzucić na szyję. Ale gościnny, który zarazem był sołtysem, mrugnął na mnie oczami, a do brata rzekł: „Weźmiecie tego żołnierza dziś na kwaterę i jeszcze mu dziś musicie dać obiad, a potem kolacyą, nocleg i jutro śniadanie.“

„O Boże! odpowiada brat, czternastu gospodarzy macie we wsi, i do mnie żołnierza na kwaterę dajecie?“

„Nic nie pomoże, musicie go wziąć.“

Począł się brat kwasić i krzywo na mnie spoglądać. Aleć mnie się téż łzy w oczach zakręciły. Nie mogłem się już dłużej wstrzymać i rzekłem do brata.

„Więc to takeście już zapomnieli o bracie waszym Jędrzeju, że już mu ani kawałka chleba dać nie chcecie?“

Na te słowa moje zbliżył się brat ku mnie, by mi się lepiej przypatrzeć, a potem na głos zapłakał i zawołał: „Toś ty? My cię już dawno oplakiwali, a ja codziennie westchnałem do Boga za twą duszę!“

Uściskaliśmy się serdecznie i chwilę płakaliśmy razem nad sobą w milczeniu.

— „A matka gdzie jest?“ pytam go potem.

„Matka w Kołaczkowicach, ale biedna, bo ojczym wyzuł ją z majątku naszego. Gospo-

darstwo nasze poszło w obce ręce,“ — odrzekł brat. —

— „Żyje ojczym?“

„Już umarł, pewnie tak rychło dla swego pijaństwa.“

— „A siostry gdzie?“

„Obiedwie już nie żyją.“

„A szwagier?“

„Już téż w ziemi!“

— „A brat Bernard?“

„On służył przy legiji Nadwiślańskiej, bo wzięli go niedługo po tobie do wojska, i jak nas głuche doszły wieści, zginął w Hiszpaniji.“

— „A drugi brat Jan gdzie?“

„Onego po powrocie z wojska pruskiego wzięto do wojska francuzkiego, i zginął podobno w Moskwie.“ —

— „O Boże! Więc to już tylko matkę i ciebie zastałem przy życiu?“

Zabawiwszy kilka dni u brata, udałem się do matki do Kołaczkowic.

Jakie było nasze przywitanie, każdy łatwo odgadnie, kto wspomni, że przeszło dziewięć lat tułałem się na wojnie, a matka o mnie nie wiedziała, — co więcéj, że trzech nas synów miała u wojska, o każdym głuche ją dochodziły wieści, że już nie żyje. —

Mnie zaś najbardziej to korciło, że wracam do domu z gołemi rękoma, nie mogąc ani so-

bie ani matce nic dopomódz, i że gospodarstwo nasze przez niepoczciwe życie ojczyrna — Panie świeć nad duszą jego, jeśli tego godzien — w obce poszło ręce, a my biedni wraz z matką zostaliśmy.

Podziękowawszy Bogu za wszystkie łaski Opatrzności, którychem doznał wśród tylu niebezpieczeństw, poszedłem na służbę do Krzekotowic, gdzie się wkrótce ożenił z pocziwą kobietą, którą mi Bóg przed sześciu laty zabrał, a nad której duszą oby świecił światłością wiekujista! Później dostałem się w dobra Chocieszewskie. Tu z różnego pieca chleb jadalem, aż nareszcie na stare moje lata zostałem stróżem przy pałacu w samych Chocieszewicach.

Nie zapomnę nigdy dobroci, jakiej tu od mego Państwa doznałem. Byli bowiem dla mnie tak łaskawi, że nietylko mnie nieraz w starości z własnej woli wsparli, ale nawet własne ich dziecko do chrztu trzymałem. Z ich łaski siedzę dziś sobie spokojnie przy synu, którego mi, nieszczędząc wielu kosztów, pomogli wychować. Oby im Bóg stokroć wynagrodzić raczył za ich dobroć.

Na pamiątkę owych wojen, w których byłem, dostałem medal Świętej Heleny. Pisałem także dwa razy już do Paryża o krzyż, na który dyplom w bitwie pod Lipskiem dostałem, ale że to wśród bitwy, pewnie nie mieli czasu

mnie zapisać w akta wojskowe i że ów dyplom zabrali mi Austryjacy, gdy mnie wzięli do niewoli, nie odebrałem przeto dotąd żadnej odpowiedzi.

Mniejsza zresztą i o krzyż, bo i bez niego mogę duszę zbawić. Dość, że miłem są dla mnie wspomnieniem owe lata ubiegłe. Gdy upał słońca latowego mi dopieka, pomyślę sobie: goręcej to było w Hiszpaniji. Gdy do sytości mogę się teraz z łaski Boga posilić, zawsze mi przyjdzie na myśl głód mój w niewoli hiszpańskiej. Gdy mi wino chwałą: Inne się to piło, powiadam, u Don Sobestyjana w Santofe albo w Maladze! A gdy wśród śnieżnych zamieci, szarug zimowych, albo ostrego mrozu siedzę w ciepłym pokoju: o jak mi dobrze, mówię sobie; inaczej to było pod Berezyną i w Moskwie! Nieraz też westchnę nad losem towarzyszków poległych, błogosławiąc Boga, że mi dozwolił przywlec swe kości na swoją ziemię. Gdy zaś wspomnę na okropności wojny, sił mi przybywa, ochota mnie bierze do pójścia i myślę sobie: oj bić a bić do ostatniego!

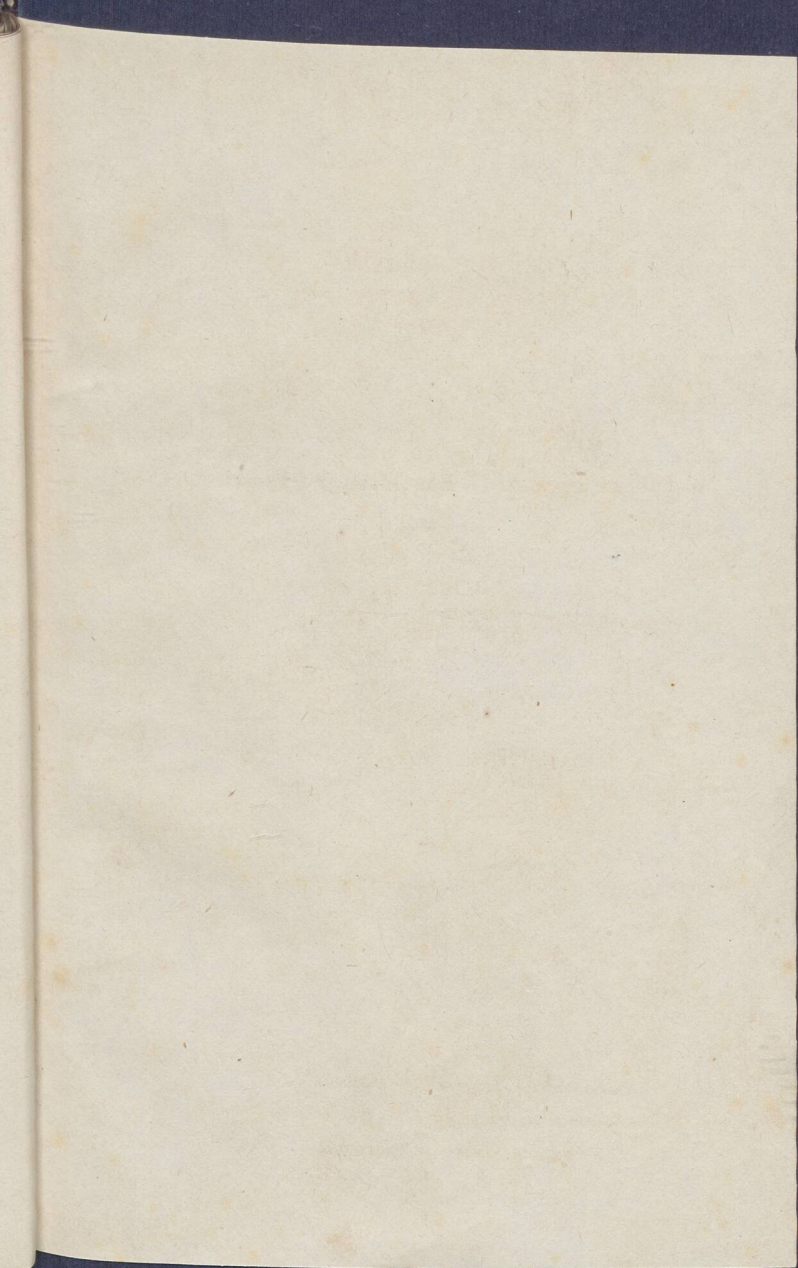


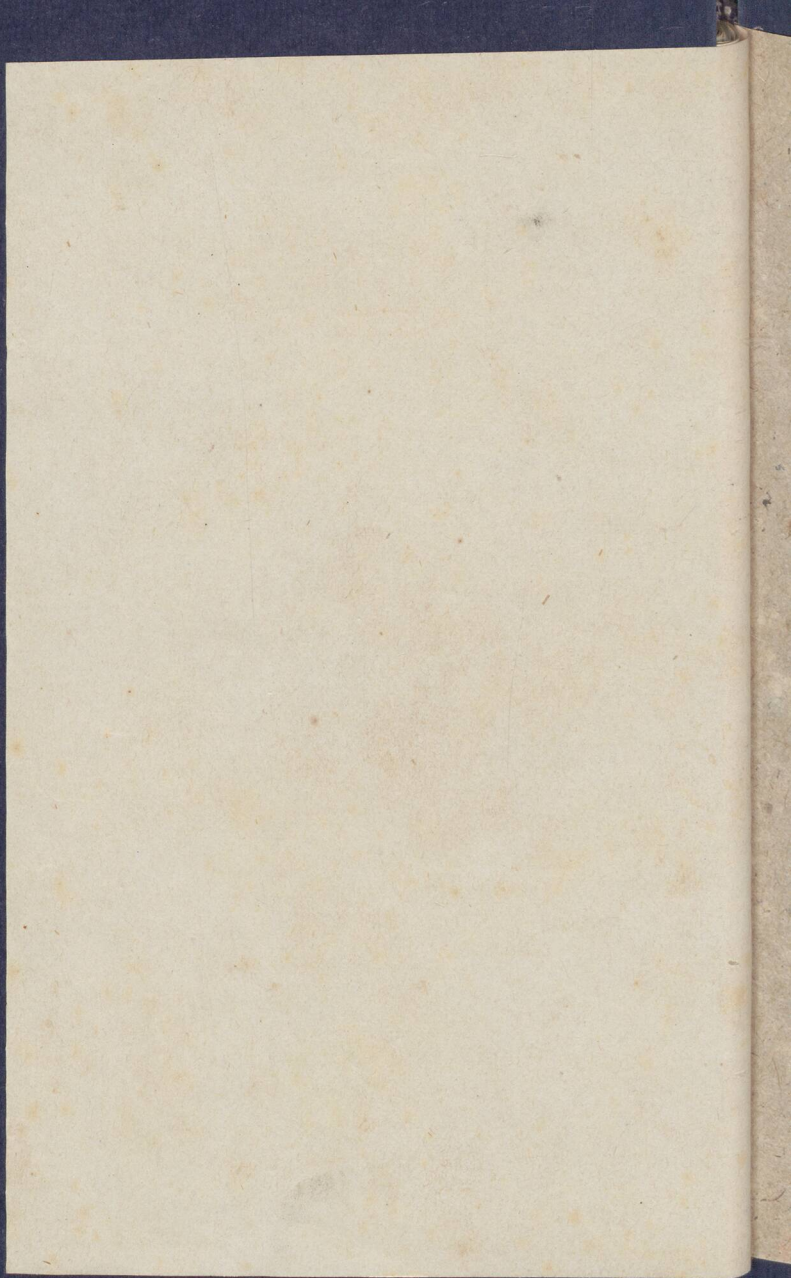
Spis rzeczy:

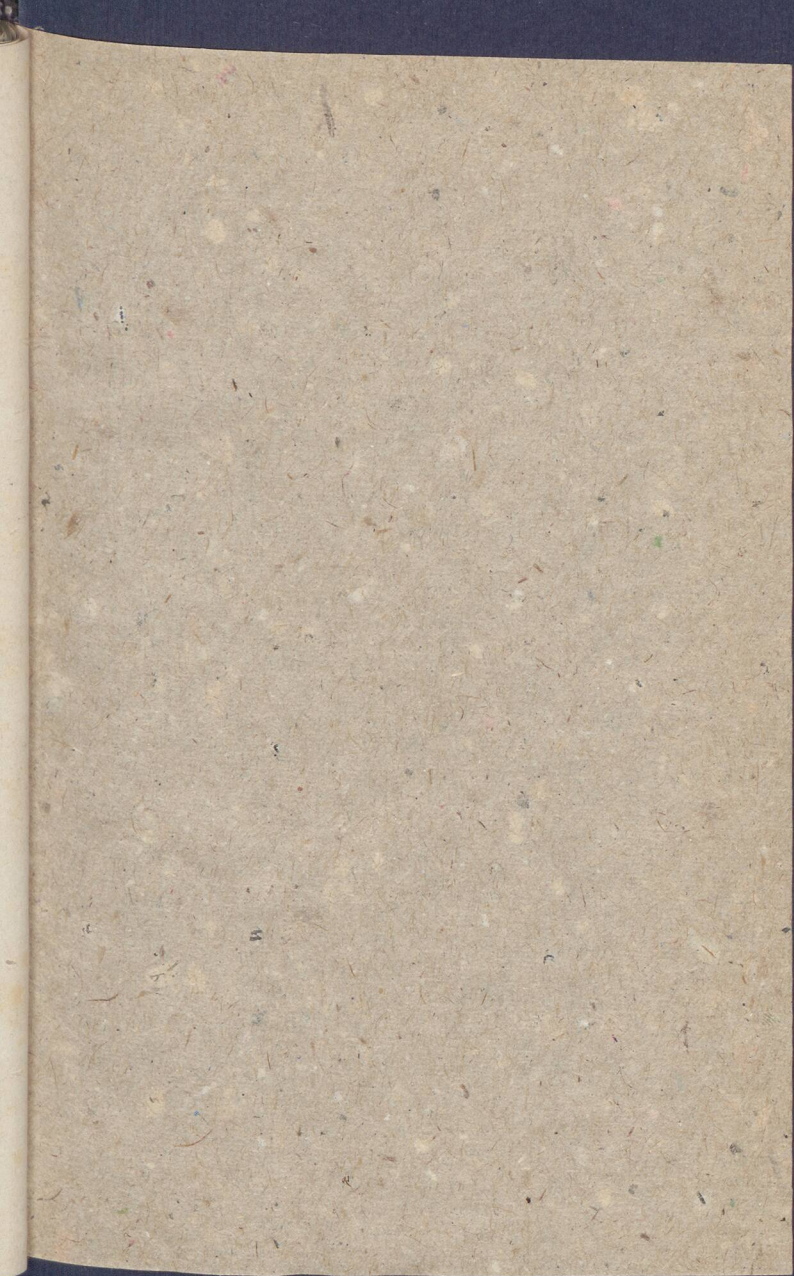
	Strona.
I. Branka.	1.
II. Wojna z Prusami i Moskwą.	4.
III. Rewija na Błoniu pod Warszawą i Marsz do Paryża i Hiszpaniji.	13.
IV. Wojna Hiszpańska.	22.
V. Niewola Hiszpańska i Angielska.	74.
VI. Wojna z Moskwą w roku 1812.	90.
VII. Niewola Austryjaska. . . .	118.
VIII. Powrót do domu.	130.

W komisie księgarni N. Kamieńskiego i Spółki.

Nakładem Ks. Bażyńskiego w Poznaniu.
Czeionkami drukarni Tygodnika Katolickiego
A. Schmaedickiego w Grodzisku.











BIBLIOTEKA GŁÓWNA
UNIwersytetu AM. w POZNANIU



771325